NR 29 (1953) 21 LIPCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Proj. Krzysztof Karnkowski

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

Nowa MOBILNOŚĆ

TYSOL.PL

- PiS NA ZAKRĘCIE
- DAMIAN MIKOS – HUTNIK, ZWIĄZKOWIEC, ULTRAMARATOŃCZYK

REPUBLIKA

„Jastrząb Show” — autorski program Sławomira Jastrzębowskiego w Republice łączący poważną publicystykę z niekonwencjonalnym komentarzem muzycznym. O najważniejszych wydarzeniach tygodnia rozmawiają goście programu, a emocje i kontekst wydarzeń komentuje saksofonem Sebastian Zys „Mr Sebii”.



SOBOTA

21:00

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl be96d77ae9



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Zielona rewolucja w transporcie nie służy wszystkim. A w dodatku wcale nie jest taka zielona. Potwierdzają to liczby, dane i statystyki. Potwierdzają to także kierowcy, pasażerowie i piesi. Wystarczy tylko chcieć ich posłuchać. O ile wcześniej zdejmie się ideologiczne okulary.

Od lat przekonuje się nas, żeby porzucić samochody i przesiąść się do elektrycznych tramwajów, a najlepiej na rowery i hulajnogi. Ma być taniej, wygodniej i zdrowiej. A przy okazji mamy uniknąć klimatycznej katastrofy. Wystarczy jednak przypomnieć sobie krakowskie referendum i polityczne kłopoty władz miasta po wojnie wypowiedzianej kierowcom. To pokazuje, że taka polityka budzi opór. Bo Polacy wyczuwają, kiedy proponowane rozwiązania rozmijają się z ich interesem.

Zacznijmy od tego, że antysamochodowe reformy często wprowadza się pokazowo, bez uwzględnienia codziennych potrzeb mieszkańców. Polacy są przywiązani do własnych aut i nie rezygnują z nich pod wpływem ekologicznych kampanii czy moralnego szantażu. Uprzykrzanie życia kierowcom wcale nie musi też oznaczać mniejszych korków. Ale zwolenników transportowej rewolucji to nie zniechęca. Wręcz przeciwnie. Skoro coś nie działa, to najwyraźniej trzeba jeszcze więcej tego samego.

To zresztą niejedyna rysa na tej zielonej opowieści. Już dziś wiadomo, że forsowanie „elektryków” bardziej wzmacnia chiński przemysł, niż chroni klimat. A przy okazji osłabia europejską motoryzację i zagraża milionom miejsc pracy. Tak jak w przypadku wielu innych zielonych projektów koszty ponoszą zwykli obywatele. Najpierw wyższe ceny. Potem coraz większe utrudnienia w poruszaniu się. A na końcu jeszcze ryzyko wylądowania na bruku.

Pytanie tylko: w imię czego? Produkcja „ekologicznych” środków transportu również wiąże się z wysoką emisją i ogromnym zużyciem surowców, takich jak lit czy kobalt. Do tego dochodzi problem ich późniejszego recyklingu, który w wielu przypadkach wciąż jest kosztowny i technologicznie trudny. A przecież jest jeszcze kwestia najważniejsza. Nawet gdyby Europa całkowicie wyzerowała swoje emisje, o losach światowego klimatu i tak w największym stopniu decydowałyby Chiny, Indie i inne wielkie gospodarki. Piękna wizja zderza się więc z rzeczywistością niemal na każdym kroku. I z każdego takiego zderzenia wychodzi bardziej poobijana.

Forsowanie „elektryków” bardziej wzmacnia chiński przemysł, niż chroni klimat. Osłabia europejską motoryzację i zagraża milionom miejsc pracy.

Byłoby inaczej, gdyby zieloni moraliści zaczęli stosować wobec siebie własne hasła. Patrzeć przede wszystkim na człowieka. Nie z wysokości wielkich idei, lecz z poziomu jego codziennych potrzeb. Bo Polak może wiele znieść. Ale gdy wyczuje, że ktoś próbuje uszczęśliwić go na siłę, zrobi dokładnie odwrotnie, niż życzyłby sobie ten, kto chce urządzić mu życie. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl be96d77ae9

21.07.2026
WYDANIE Nr
29

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Nowa mobilność



6 **Ślady po jednośladach**

10 **Blachosmrody i patohulajnogi, czyli wojna o transport**

14 **Kolorowe linie na mapach**

18 **Wielki Brat pije, mieszkańców suszy**

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Spokojny sen pirata 22

KRAJ

PiS na zakręcie 26
Jak średniowieczne Jung Stadt stało się Młodym Miastem i kolebką Solidarności 29
Kalkulacje i iluzje nowej Trzeciej Drogi 30
Polscy przedsiębiorcy i pracownicy tracą z powodu polityki UE. Rozmowa z E. Zajączkowską-Hernik 34
Luka średniego pokolenia prawicy 38

GOSPODARKA

Kontrakty różnicowe dla Morskiej Energetyki Wiatrowej zabiją innowacje i rozwój gospodarczy 42

KULTURA

Żyję wewnątrz piosenek. Rozmowa z Fidą 50
Historie z podwórek. Rozmowa z M. Grosiakiem 54
Polski J.D. Vance 57

SPOŁECZEŃSTWO

„Podcast Biznesowy”. Ekonomia opowiedziana przez praktyków 62

RELIGIA

Mocy Wyznawców, wybaw nas 65

ZWIĄZEK

Co w związku 68
Damian Mikos – hutnik, związkowiec, ultramaratończyk 70

FELIETONY:

OKRASKA 5
GAC 25
SKWIECIŃSKI 37

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 13
KARUZELA Z BLOGERAMI 21
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 46
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 49
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 60
GŁOS REGIONU 72
PRAWO 73

eprasa.pl be96d77ae9

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Jest Tusk – jest bieda

Miało być świetnie. A jest gorzej.

W latach 2016–2023 krytyka władzy miała w sferze społeczno-gospodarczej dwa oblicza. Pierwsze to pomstowanie na „rozdawnictwo". Znamy to z niemal całej III RP. „Darmozjady", „roszczeniowcy", „utrzymywanie niezaradnych" itd. Tak uzasadniano brak socjalu za rządów liberałów. Tak atakowano wspieranie Polaków przez PiS. Drugi front nastał, gdy przetoczyła się światowa fala inflacji wywołana pandemią, wojną i pazernością biznesu. Ruszyła krytyka rządu za to, że Polacy zbiednieli. Przodował w tym Donald Tusk. Ten sam, który pomstował na „rozdawnictwo".

Pomyślmy, o ile biedniejsi byliby Polacy bez „rozdawnictwa": programu 500+, trzynastych i czternastych emerytur, znacznego podniesienia płac minimalnych. Liberałowie zresztą wygadywali, że inflacja jest spowodowana przez PiS-owskie „rozdawnictwo". Tymczasem była ona wysoka w połowie świata. W 2023 r. ubóstwo w Polsce wzrosło. Co prawda, po latach spadków jego poziomu, ale opozycja triumfowała: oto PiS-owska bieda.

Teraz Tusk i lewica rządzą. I co wiemy z nowych danych GUS-u? W 2025 r. w ubóstwie relatywnym żyło 13,5% gospodarstw domowych. To najwyższy wynik od 2018 r. Nawet w trudnym roku 2023 było to 12,2% gospodarstw. Ubóstwo skrajne to 5,3% gospodarstw. Gdy pominiemy rok 2023, za rządów PiS od 2019 r. było zawsze niższe.

W 2025 r. w skrajnym ubóstwie żyło 8,9% rodzin z trojgiem lub większą liczbą dzieci. W roku 2024 było ich tylko 5,9%. Z dwojgiem dzieci jest to wzrost z 6,7% do 7,2%. Nieznaczny spadek dotyczy tylko rodzin z jednym dzieckiem. Liczba skrajnie ubogich dzieci wzrosła w ciągu roku o prawie 20%. W 2025 r. było ich 435 tys. Pomijając „inflacyjny" rok 2023, to najwyższy wynik od 2015. Po wprowadzeniu programu 500+ mieliśmy tylko 400 tys. skrajnie ubogich dzieci, a później jeszcze mniej.

Skrajne ubóstwo w 2025 r. zmalało tylko wśród emerytów. W każdej innej grupie wiekowej wzrosło przez rok. Na wsi odsetek gospodarstw domowych w skrajnym ubóstwie wzrósł z 8,8% do 9,5%. Jeszcze bardziej na obszarach wiejskich z dala od wielkich aglomeracji: z 10,2% do 11,3%. W 2025 r. skrajne ubóstwo dotyczyło 12,1% rencistów – w ciągu roku skala problemu uległa podwojeniu! Skrajnie ubogich rolników było w 2024 r. 11,4%, a w 2025 aż 17,5%. Gdy porównany rok 2025 z pandemicznym, ale przedinflacyjnym 2021, mamy obecnie spory wzrost skrajnego ubóstwa w prawie każdej kategorii źródeł dochodów.

Co jeszcze różniło tamte i obecne czasy? W 2023 r. nastąpił skok inflacji w połowie świata. Dzisiaj nic takiego się nie dzieje. A mimo to ubóstwo rośnie. Coś jeszcze się zmieniło. Gdy w 2023 r. inflacja zubożyła ludzi, nastąpiła szybka reakcja. PiS w 2023 r. przegłosowało i zabudżetowało na przyszły rok wzrost świadczenia na dzieci z 500 do 800 zł. W 2023 r. płace minimalne, czyli najgorzej zarabiających, podniesiono o 19,1%. Zanim PiS straciło władzę, przegłosowało na 2024 r. kolejny duży wzrost pensji minimalnej – o 19,2%. Dziś przybywa ubogich, a świadczenia stoją w miejscu. Płaca minimalna w 2025, 2026 i prawdopodobnie w 2027 r. „wzrośnie" mniej więcej o wskaźnik inflacji.

Po prostu rządy liberałów = bieda.

eprasa.pl be96d77ae9

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Ślady

PO JEDNOŚLADACH

Jednoślady dają ich posiadaczom **poczucie sprawczości i fizycznego związku z wehikułem** – jak z koniem. Oddaje to angielski termin „to ride", dosiadać roweru jak rumaka. Odczucia też podobne – włosy rozwiane wiatrem, pęd powietrza na twarzy, zmiana pozycji z siedzącej na stojącą, jazda bez trzymanki... I wio! Galopada! Wolność! Tylko... wolność jednych kosztem ograniczenia swobody drugich.

Monika Małkowska



Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl be96d77ae9

Rower jest jedynym środkiem transportu, który Unia Europejska uznała za stuprocentowo przyjazny dla klimatu i środowiska. Poza tym jednoślad ma zbawienny wpływ na ludzką kondycję: chroni przed cukrzycą, udarami i otyłością, a także zmniejsza zagrożenie zachorowań na raka i zapadnięcia na demencję. I – uwaga! – ludziom, którzy jeżdżą do pracy rowerem, zmniejsza się o 40% ryzyko zgonu niż u pozostałych. Czyżby dzięki cyklizmowi można było osiągnąć nieśmiertelność? Ale dobra, wprawienie w ruch kół za pośrednictwem pedałów to bez wątpienia forma gimnastyki. Jednak moda na cyklizm to było preludium szaleństwa, które w ostatnich latach zawładnęło Polakami, zwłaszcza małoletnimi. W miastach nastał terror jednośladów elektrycznych: hulajnogi, rowery, skutery, crossy oraz różnego rodzaju UTO (Urządzenie Transportu Osobistego, czyli pojazdy bez siedzenia i pedałów) jak elektryczne deskorolki, hoverboardy, segwaye czy airwheele są wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. Użytkownicy tych „rumaków" czują się bezkarni. Blokada prędkości? Nic takiego, podkręcamy tempo! Ograniczenia prędkości na chodnikach? Nie dla nas, gierojów! Niech te ślamazary się orientują! Zakaz jazdy po alkoholu? A kto nam zabroni? Dozwolona tylko jazda w pojedynkę? A przecież tak przyjemnie poprzytulać się w pędzie – miłość wszystko wybaczy... Do tego dochodzi jeszcze plaga kurierów na skuterach-elektrykach dostarczających dania i wiktuały, zupełnie nieprzestrzegających (i nieznających) zasad ruchu. Czasem jakimś policjantom odbija akcja kontrolowania jednośladów, ale „i Herkules dupa, gdy jednośladów kupa".

Rowerowa stolica

Warszawa jest polską bicyklową liderką: szczyci się siecią ponad 883 km tras rowerowych. W tym 580 km to pasy tylko dla rowerów (i innych jednośladów); 82 km zaś to ciągi pieszo-rowerowe. W wielu miejscach chodniki przecinają się z trasami rowerowymi i... tylko przechodnie muszą tam zachować czujność. Biada im, jeśli uwierzą, że na drogach rowerowych dozwolona prędkość wynosi 20 km/h, na chodnikach zaś – 5 km/h. Mało kto wie, że od 2012 r. w stołecznym ratuszu funkcjonuje pełnomocnik prezydenta m.st. Warszawy ds. komunikacji rowerowej. I ma pełne ręce roboty. Dbałość o jakość sieci jednośladów to priorytet: już 81% wszystkich tras zostało wykonanych z porządnego, gładkiego asfaltu. Ponadto mamy ponad 46 tys. stojaków rowerowych oraz 290 samoobsługowych stacji naprawczych. Kto jest ciekaw kosztów jednośladowej mody, spieszę poinformować: w centrum miasta jeden kilometr kosztuje kilka milionów zł! Przykładowo, na trasę wzdłuż ul. Marszałkowskiej ratusz wybulił ok. 8 mln zł (i to nie koniec, bo po drugiej stronie ulicy powstanie kolejna ścieżka); na ciąg wzdłuż ul. Andersa – ok. 30 mln; za to infrastruktura rowerowa w centrum stolicy pochłonie ponad 100 mln zł. Pełnomocnik rowerowy prezydenta Warszawy przyznaje, że powinny też wracać przejścia przez ruchliwe arterie, ale to jeszcze bardziej podwyższyłoby i tak wysokie koszty. Bo współczesność eliminuje pieszych jako anachronizm. Choć rower napędzany wysiłkiem człowieka to też zabytek.

Siła ludzkich mięśni

Podobno około roku 1790 pojawił się prototyp maszyny przypominającej rower – nazwanej célérifere – której autorem/konstruktorem miał być francuski hrabia Mède de Sivrac. Na to jednak brak wiarygodnych dowodów. Za to machiny do jazdy napędzane siłą za pomocą pedałów bez wątpienia pojawiły się na początku XIX stulecia. Zanim jednak wprowadzono na rynek jednoślady z dwoma kołami tej samej wielkości, wyprodukowano wiele różnych wehikułów będących „wprowadzeniem" do współczesnych rowerów. Prototyp skonstruował w 1817 r. niemiecki baron Karl von Drais. Pierwszy na świecie jednoślad wyposażony był w dwa koła połączone w jednej linii drewnianą ramą; skręcanie odbywało się przez obrót przedniego koła. Pół wieku później francuski rzemieślnik Pierre Michaux dodał do przedniego koła pedały oraz korby, co zapoczątkowało epokę welocypedów. I już w następnej dekadzie pojawiły się bicykle z ogromnym kołem przednim napędzanym bezpośrednio z pedałów, co pozwalało rozwijać duże prędkości. Jednak wehikuły były niestabilne, co zatem idzie – niebezpieczne. I tadam, tadam – rok 1885,

MODA NA CYKLIZM TO BYŁO PRELUDIUM SZALEŃSTWA, KTÓRE W OSTATNICH LATACH ZAWŁADNĘŁO POLAKAMI, ZWŁASZCZA MAŁOLETNIMI. W MIASTACH NASTAŁ TERROR JEDNOŚLADÓW ELEKTRYCZNYCH.

eprasa.pl be96d77ae9

niejaki John Kemp Starley wymyśla „rower bezpieczny" (Rover Safety Bike) wyposażony w dwa podobnej wielkości koła, napęd łańcuchowy oraz układ kierowniczy połączony z widelcem. Te konstrukcje ewoluowały z czasem – aż po współczesne rowery napędzane elektrycznie.

Majtki dla cyklistek

Wiemy już, co miasta zawdzięczają rowerom. Ale za co jednośladowi powinny być wdzięczne kobiety? Otóż dzięki cyklizmowi wygrały ubraniową wygodę. Gwarantowaną przez spodnie. Nie od razu był to element stroju wystawiony na publiczny widok. Najpierw ukrywano go pod sukienką, potem coraz krótszą spódnicą, wreszcie – noszono tylko z bluzką. Ta swobodna moda przyszła z Ameryki, gdzie w latach 70. XIX wieku niejaka Amelia Bloomer, działaczka na rzecz praw kobiet, do tego fanka rowerowania, zaprojektowała i wylansowała damskie gatki trochę zbliżone krojem do spodni haremowych: bufiaste, plisowane w talii, zebrane w pasek pod kolanem, noszone z pończochami i gorsetowaną górą. „Ubranie kobiety powinno być dopasowane do jej chęci i potrzeb. Powinno sprzyjać po pierwsze jej zdrowiu, być komfortowe i użyteczne, a jeśli to nie przeszkadza, podkreślać jej wdzięk i piękno". „Szlachetne", niebieliźniane majtasy szyto z materiałów jak na suknie, były dobrane kolorystycznie do kreacji. I kiedy pęd powietrza unosił spódnice ponad kierownicę, ukazywały się galoty zwane od imienia projektantki „bloomerkami". Widok uznano za przyzwoity, a spodenki – za nieurągające zasadom elegancji. W 1890 r. oficjalnie zaakceptowano je w Europie.

Cykliści jako teoria spiskowa

W 1900 roku „Słownik warszawski" tak definiował termin „cyklista" – „jeździec na cyklu, czyli kole". Później „cykl" został wyparty przez „rower", „cyklistę" zastąpił „rowerzysta", a następnie „kolarz". Do dzisiaj termin „cyklista" przetrwał głównie za sprawą powiedzenia: „Wszystkiemu winni są Żydzi, masoni i cykliści". Analogicznie mówiło się swego czasu: „Będziemy wieszać partyjnych i cyklistów". Co zawinili rowerzyści w tym politycznym tyglu? Otóż na przełomie XIX i XX wieku zarówno maszyna, jak i ekstrawaganckie stroje rowerzystów budziły zastrzeżenia. Sugerowano, że stanowią element zagrażający ówczesnemu porządkowi świata, ba! uważano ich za zwiastun końca tegoż. A dwie pierwsze z wymienionych grup uważano za spiskowców mających na celu przejęcie władzy nad światem. Powiedzonko – w ironicznym sensie – spopularyzowali w międzywojniu dwaj poeci żydowskiego pochodzenia Julian Tuwim i Antoni Słonimski. Przytaczanie porzekadła w najbardziej absurdalnych kontekstach służyło ośmieszaniu rozlicznych teorii spiskowych dopatrujących się podłych intryg snutych przez środowiska żydowsko-masońskie.

PROTOTYP SKONSTRUOWAŁ W 1817 R. NIEMIECKI BARON KARL VON DRAIS. PIERWSZY NA ŚWIECIE JEDNOŚLAD WYPOSAŻONY BYŁ W DWA KOŁA POŁĄCZONE W JEDNEJ LINII DREWNIANĄ RAMĄ; SKRĘCANIE ODBYWAŁO SIĘ PRZEZ OBRÓT PRZEDNIEGO KOŁA.

Lot na Letatlinie

Wiara w potęgę rewolucji radzieckiej napędzała także utopijne koncepcje. Oto urodzony w 1885 r. w Charkowie Władimir Tatlin, który zaczynał karierę jako ikonopis, wymienił wiarę chrześcijańską na wiarę w ideę komunizmu. W 1920 r. zabłysł projektem Pomnika III Międzynarodówki – niestety, na „Wieżę Tatlina" nie było stać młodego sowieckiego państwa. Nie była to jedyna futurystyczna wizja Tatlina, który uznał, że człowiek radziecki może też zrewolucjonizować komunikację miejską. W 1932 r. Tatlin zaprojektował „Letatlin" (inteligentna zbitka słowa „latać" z nazwiskiem wynalazcy), wehikuł łączący koncepcje maszyny do latania Leonarda da Vinci z rowerem. Pisano o tym pojeździe entuzjastycznie: „To nie tylko dzieło sztuki; jest to manifest innowacyjny, materializacja utopii i wola twórczej zdolności ludzi". Innowacyjność koncepcji Tatlina nie na wiele zdała się autorowi – jako jeden z niewielu awangardystów, który w okresie stalinowskich czystek nie emigrował ze Związku Radzieckiego, został zmuszony do zweryfikowania swoich wizji i przekonań. W 1940 r. pozbawiony został prawa wystawiania, w efekcie czego zdesperowany artysta wrócił do malarstwa realistycznego. Cóż, Letatlin nigdy nie poszybował nad ulicami miast – a komunizm nie sprawdził się jako ideologia proletariuszy wszystkich krajów, którzy mieli się łączyć.

Nagie baby na siodełkach

Jednak nie za czasów leninowskiego/stalinowskiego ZSRR z roweru uczyniono narzędzie lewackiej/lewicu-

eprasa.pl be96d77ae9

jącej ideologii. Stało się tak w 1978 r., gdy grupa Queen (u szczytu sławy) nagrała utwór „Bicycle Race" (z albumu „Jazz"), do którego powstał clip wywołujący sprzeciw w niektórych krajach. Bo oto na ekranie pojawiło się 65 nagich damskich tyłków (dość tłustych), ujętych od tyłu, dosiadających rowerów na Wimbledon Stadium. Song skomponował Freddie Mercury zainspirowany wyścigami Tour de France, których trasa w 1978 r. przebiegała przez Montreux, gdzie Queen nagrywał album „Jazz". Tekst zawierał (trudne dziś do odczytania) aluzje do wojny w Wietnamie, Watergate, religii, kokainy, popkultury, a także słynnych postaci z literackich (i filmowych) fikcji: Piotruś Pan, Superman, Frankenstein. Co zabawne – zespół Queen, który wynajął rowery do wspomnianej sceny (z nagimi panienkami), zmuszony został do odkupienia siodełek z tych pojazdów, które naguski dosiadły (i do zapłacenia za nowe siodełka). Ciekawostka obyczajowa: po luzackim podejściu do nagości z przełomu lat 60./70., pod koniec lat 70. nagie d... raziły „moralność" establishmentu. Niemal wszystkie kraje, do których trafiło wideo z naguskami na rowerach, zgodziły się na popularyzację teledysku pod warunkiem, że paniom „nałożono" (cyfrowo) na gołe tyłki czerwone majteczki bikini. W bardziej purytańskich stanach USA „ubrano" też dziewczyny-cyklistki w staniki.

DO DZISIAJ TERMIN „CYKLISTA" PRZETRWAŁ GŁÓWNIE ZA SPRAWĄ POWIEDZENIA: „WSZYSTKIEMU WINNI SĄ ŻYDZI, MASONI I CYKLIŚCI".

Ten od Błażeja

Po naszej ustrojowej transformacji media przeżywały prawdziwy rozkwit i totalną rekonstrukcję: odejście od sztywnego montażu, improwizacja, dopuszczalne błędy językowe i pomyłki. I oto na przełomie XX i XIX wieku pojawił się najpopularniejszy telewizyjny show dla małolatów, prowadzony przez młodych, z udziałem małoletniej publiczności. Skąd tytuł „Rower Błażeja"? Ta nazwa przebiła się wśród najbardziej odjechanych propozycji. Jednoślad Błażeja w ogóle nie istniał, tak zresztą, jak nie było żadnego dziennikarza o tym imieniu w zespole redakcyjnym. Format pojawił się w głównej telewizyjnej antenie w 1998 r., więc jeszcze w czasach kształtowania się naszej neoliberalnej świadomości. Co najważniejsze – w „Rowerze..." poruszano często kontrowersyjne tematy związane z seksem, antykoncepcją, narkotykami czy homoseksualizmem. Nie wszystkim to odpowiadało. Program przetrwał 6 lat, choć w coraz mniejszej dawce: od pięciu odcinków na tydzień; po 4 latach obcięty do czterech odsłon tygodniowo; od wiosny 2004 r. ścięty do 3 odcinków tygodniowo, ale to już był łabędzi śpiew formatu, po którym została... rowerowa nazwa.

Motocyklowy Rajd Katyński

Na koniec – o ciężkiej artylerii jednośladów: Harley-Davidson, Yamaha, BMW, Suzuki, Kawasaki. Motocykle dostosowane do pokonywania trudnych warunków i tysięcy kilometrów. Chopppery, cruisery i adventure. I to właśnie one – a raczej ich właściciele – od ćwierćwiecza organizują wyprawy motocyklowe do miejsc związanych ze zbrodnią katyńską. Rajd jest organizowany od 2001 r., a jego pomysłodawcą był Wiktor Węgrzyn. Trzeci Rajd Katyński Węgrzyn przeleżał w szpitalu po ciężkim wypadku. Wylizał się. W podzięce za wsparcie Opatrzności Bożej zorganizował w 2004 r. Zlot Gwiaździsty na Jasnej Górze. Na początku była garstka uczestników. Ale w 2007 r. zebrało się ponad 12 tysięcy motocyklistów; a rok później było ich 15 tys. Kolejne lata to udział kilkudziesięciu tysięcy, w 2024 r. zaś to już ponad 50 tys. rajdowców. Teraz to największy niekomercyjny zlot w Europie. Uczestnicy odwiedzają miejsca związane ze zbrodnią katyńską na Kresach Wschodnich, starają się nawiązać kontakt z Polakami mieszkającymi na tamtych terenach, zabiegają o rozwój kontaktów międzynarodowych. Co roku motocykliści z Polski i zagranicy zaczynają sezon od Mszy Świętej i zawierzenia się w opiekę Królowej Polski. Ponieważ tego typu aktywność ma łączyć, nie dzielić, uczestnicy rajdu wywieszają dwie flagi – polską oraz kraju, przez który przejeżdżają. W Mszach Świętych odprawianych w każdym z miejsc „katyńskich" uczestniczą obok Polaków Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy i przedstawiciele innych narodów z terytoriów ex-ZSRR. Modlą się starzy i młodzi, katolicy, grekokatolicy, prawosławni, ewangelicy. Ma to służyć pojednaniu... co już jest trudniejszą sprawą. Na koniec – finalny rytuał: uczestnicy Rajdu po powrocie do domów odwiedzają szkoły, uczelnie, parafie, dzieląc się wrażeniami z podróży i przywołując pamięć o Zbrodni Katyńskiej, o Kresach oraz Polakach tam pozostałych.

eprasa.pl be96d77ae9



Blachosmrody i patohulajnogi, czyli wojna o transport

Przestrzeń miejska stała się dziś **polem bitwy** między zwolennikami różnych rodzajów transportu. Samochody osobowe walczą z tzw. mikromobilnością, która ma potężnych sojuszników w brukselskiej centrali i samorządach.

Ludwik Pęzioł

Stosunek do transportu nie jest chwilową modą ani kaprysem tłumu. Wynika z potocznej filozofii i całego systemu wartości, jakim kieruje się społeczeństwo. Pierwsza dekada po transformacji była czasem bezwzględnej dominacji samochodu. Stanowił on synonim wolności, wyznaczał status i miejsce w hierarchii społecznej. Kupując auto, wielu chciało również odbić sobie długie lata konsumenckiej posuchy z czasów PRL-u.

Kolejna dekada upłynęła pod znakiem prób radzenia sobie z problemami, które samochody same wytworzyły, ale jeszcze bez podnoszenia ręki na „świętą krowę" motoryzacji. Poszerzano drogi, budowano obwodnice i nowe arterie. Później nadszedł czas promocji alternatywnych środków przemieszczania się. Dziś zaś docieramy do momentu, w którym samochód dla wielu zaczyna być wrogiem numer jeden, a przebudowa miasta ma służyć jego systematycznemu rugowaniu.

Instrukcje z centrali

Nie dzieje się to spontanicznie. Za zmianę miejskiego pejzażu w dużej mierze odpowiada spisany w 2013 roku Plan Zrównoważonej Mobilności Miejskiej (SUMP) przyjęty przez Komisję Europejską. Owszem, pewne „postępowe" tendencje były widoczne w Polsce już wcześniej, ale to właśnie SUMP nadał im urzędowy kierunek. Koncepcją zainteresowały się dziesiątki polskich miast.

W deklaracjach SUMP ma stworzyć nowy model komunikacji miej-

eprasa.pl be96d77ae9



Fot. Adobe Stock

skiej, który z jednej strony ograniczy emisję spalin, a z drugiej będzie bardziej przyjazny mieszkańcom. Gdy jednak ociosać go z urzędniczych formułek i PR-owych haseł, chodzi o przebudowę transportu w taki sposób, by miasto było coraz mniej zależne od samochodu osobowego. Mieszkańcy mają przemieszczać się komunikacją publiczną, korzystać z mikromobilności (rowerów czy hulajnóg) oraz innych ekologicznych środków transportu – także na krótkich odcinkach. Do tego dochodzi mnożenie terminali multimodalnych, czyli miejsc umożliwiających łatwe przesiadki: z jednego pojazdu na drugi. Przykładem jest system Park and Ride: zostawiasz samochód na parkingu i dalszą drogę pokonujesz tramwajem, rowerem albo hulajnogą. W praktyce prowadzi to do stworzenia modelu przemieszczania się, którego naturalnym skutkiem jest stopniowe wypychanie samochodu osobowego jako głównego truciciela, sprawcy korków i źródła hałasu.

Choć SUMP nie jest obowiązkowym aktem prawnym, proces jego wdrażania często wynika z „aksamitnego przymusu". Przyjęcie jego wskazań bywa bowiem warunkiem ubiegania się o niektóre środki europejskie. A który samorządowiec zrezygnowałby z pieniędzy, skoro są one warunkiem zaspokojenia podstawowych potrzeb miasta, a tym samym zachowania stołka? Do SUMP przekonywano jednak nie tylko samorządowców. Po przeprowadzeniu odgórnych szkoleń dla władz lokalnych, jego założenia w 2019 roku wpisano do rządowej „Strategii Zrównoważonego Rozwoju Transportu do 2030 roku" (SRT2030). Jakby tego było mało, realizacja tych założeń znalazła się także w słynnych kamieniach milowych z 2022 roku.

Wszystko to wpłynęło na wygląd i organizację polskich miast. Najbardziej widoczna jest rozbudowa infrastruktury dla mikromobilności oraz ułatwianie korzystania z niej poprzez wypożyczalnie czy stojaki rowerowe. Równocześnie ogranicza się ruch samochodowy w centrach miast, tworzy strefy car-free, zwęża jezdnie na rzecz pasów rowerowych, wprowadza strefy Tempo 30 oraz mnoży progi zwalniające. W przyszłości zapewne dołączą do tego współdzielone autonomiczne minibusy.

Gdzie wady?

Oczywiście pomysł przebudowy miast nie jest zły sam w sobie. Zatłoczone ulice, smród spalin, osiedla zawalone szpecącym je nadmiarem samochodów czy kwestie bezpieczeństwa na drogach nie są przecież wymysłami nawiedzonych ekologów, lecz codziennością mieszkańców. Nie jest też prawdą, że wszystkie samochody są ich właścicielom rzeczywiście niezbędne (odrębną sprawą pozostaje to, kto miałby o tym decydować).

PIERWSZYMI OFIARAMI PRZEBUDOWY MIAST POD NOWY MODEL MOBILNOŚCI SĄ PIESI.

Sama krytyczna refleksja nad tymi zjawiskami nie jest więc niczym nagannym, a opowieści o zamachu na święte prawo do posiadania i używania nawet dziesięciu samochodów to zwykła liberalna propaganda. Doświadczenie uczy jednak, że żadna, nawet najpiękniejsza wizja przekuta w praktykę nie jest pozbawiona wad i zagrożeń. Tak jak „samochodowy raj" miał być symbolem wyjścia z PRL-owskiej szarzyzny i biedy, a zaczął generować własne problemy, tak również „zrównoważony transport" i „holistyczne" podejście do komunikacji stawiają dziś kilka poważnych znaków zapytania. W swojej „marketingowej" retoryce zwolennicy transportowej rewolucji

eprasa.pl be96d77ae9

w miastach chętnie posługują się hasłami o podnoszeniu „jakości życia", „stawianiu człowieka w centrum" czy „inkluzywności". Problem polega na tym, że próba pogodzenia wszystkich ze wszystkimi za pomocą jednego, uniwersalnego planu niekoniecznie się sprawdza.

Pierwszymi, którzy ponoszą koszty przebudowy miast pod nowy model mobilności, są... piesi. Do tej pory pieszy musiał mieć samochody „na radarze" właściwie tylko przy przejściu na drugą stronę ulicy. Chodnik był jego przestrzenią. Dziś zarówno po chodnikach, jak i po drogach dla rowerów bez opamiętania prują rowery, hulajnogi i elektryczne deskorolki. Szczególnie odczuwają to rodzice idący z dziećmi, którzy muszą nieustannie pilnować, by maluch nie znalazł się pod kołami rozpędzonego pojazdu. Podobnie osoby starsze, dla których takie spotkanie pierwszego stopnia może skończyć się tragicznie. Brawurowa jazda, sztubackie popisy czy zmotoryzowani kurierzy, motywowani do pośpiechu zarówno przez pracodawcę, jak i klienta, skutecznie niwelują propagandę o „bezpiecznej komunikacji".

Osobną kwestią jest indoktrynacyjny charakter języka „zrównoważonej mobilności". Choć padają piękne hasła, nie zmienia to faktu, że całość odbywa się poprzez świadome uprzykrzanie życia kierowcom. To, co w praktyce jest walką z samochodem, ubiera się w slogany o inkluzywności i poprawie jakości życia. Można wzruszyć ramionami i uznać, że każda wojna potrzebuje własnej propagandy. Problem w tym, że z grona osób, których „dostępność" i „jakość życia" mają zostać zwiększone, właściciele samochodów oraz ich rodziny zostają po prostu wyłączeni – niczym dawny wróg klasowy.

TO, CO W PRAKTYCE JEST ZWYKŁĄ WALKĄ Z SAMOCHODEM, UBIERA SIĘ W SLOGANY O JAKOŚCI ŻYCIA.

Co więcej, tego typu „środki perswazji" nie zawsze działają. Kierowcy nie przesiadają się na rowery – często nie dlatego, że nie chcą, ale dlatego, że zwyczajnie nie mogą. Zamiast tego stoją w jeszcze większych korkach. Dobrym przykładem jest Warszawa, która intensywnie wdraża rozwiązania zgodne z SUMP, a jednocześnie według zestawień TomTom Traffic Index należy do coraz bardziej zakorkowanych miast.

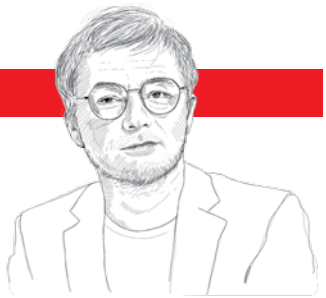
W wielu przypadkach wynika to z faktu, że zamiast analizy rzeczywistych potrzeb mieszkańców realizowana jest unijna wizja transportu. Redukcja emisji staje się celem nadrzędnym, a cała reszta sprowadza się do mniej lub bardziej efektownych ozdobników, które są łatwe do przejrzenia i budzą nieufność do całej transportowej rewolucji (jak choćby w przypadku Stref Czystego Transportu). Sama motywacja ekologiczna okazuje się zbyt słaba, by kierowcy masowo i z własnej woli przesiadali się na inne pojazdy. Dodatkowo znaczna część polskiego społeczeństwa zdaje się źle reagować na ostentacyjnie okazywane poczucie wyższości i „głębszej świadomości" przez przeciwników samochodów. Dowodem niechęci wobec polityk, które deklaratywnie mają „angażować społeczeństwo obywatelskie" (co zresztą wpisano do założeń SUMP), a w praktyce często ignorują niewygodne głosy, może być referendum w sprawie odwołania prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego. W badaniach wielu respondentów wskazywało, że jednym z głównych powodów poparcia referendum była właśnie jego polityka transportowa.

Wiele wskazuje więc na to, że samą ideologią (zwłaszcza w tak przekornym społeczeństwie jak polskie) nie da się wygrać. Nawet zliberalizowana klasa średnia, która zwykle patrzy na postępowe rozwiązania życzliwym okiem, niekoniecznie jest gotowa poświęcić własne cztery kółka. Wdrażanie zachodnich modeli „nowej mobilności" może więc okazać się dla rządzących także poważnym ryzykiem politycznym. Wszystko to pokazuje, że mimo pewnych sukcesów „antysamochodziarze" jeszcze długo będą mieli pod górkę.

SAMĄ IDEOLOGIĄ NIE DA SIĘ WYGRAĆ – ZWŁASZCZA W TAK PRZEKORNYM SPOŁECZEŃSTWIE JAK POLSKIE.

eprasa.pl be96d77ae9

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Dlaczego Gierkowi się nie udało?

Jan Wróbel

Do powieści Marka Stokowskiego „Lotnicho” podchodziłem jak pies do jeża. Po prostu mam trwały uraz do PRL-u. Bo pamiętam, że upadł dzięki solidarności, ale w wolnej Polsce polityka żyje z wzajemnej nienawiści; no i serce pęka, trach! No i nie szukajcie u mnie żadnej tkliwości na widok trabanta lub zupy ogonowej w proszku.

Na dodatek nie cierpię na brak źródeł do refleksji nad młodym pokoleniem. A tu czytam pierwszą stronę i już wiem – będzie o licealistach, takich sprzed ponad 50 lat. No, naprawdę... Na szczęście pod wpływem znajomej (dzięki!) czytałem dalej. I teraz chcę być dla ewentualnie nieprzekonanych do lektury taką znajomą. Czytajcie. „Lotnicho” jest wybitne literacko – to pierwsza sprawa, ale druga, może nawet ważniejsza – to ten cały PRL.

Lata 70. jeszcze młode, by tak rzec, nijakie. Pierwsze lata Gierka, sporo optymizmu, reżim, w którym dało się żyć względnie przyjemnie. Wybór Jana Pawła II nikomu się jeszcze nie śnił, KOR-u nie było, prędzej spodziewano by się wylądowania UFO niż strajków 1980 roku i wielkich porozumień. A przecież niespodziewane odrodzenie polskiego ducha nie wzięło się z niczego.

Stokowskiemu udało się pokazać to ukryte coś. Właściwie zarówno czwórka młodych, jak i ludzie przez nich spotykani są bardzo zwyczajni. Bardzo zwyczajni są ci źli (kto naprawdę uważa, że dyktatury wspierają się na demonach?), tak samo – ci dobrzy. Opis polskiej prowincji przesłodzony nie jest; w ogóle proszę się nie nastawiać na patriotyczną czytankę. Niemniej autorowi powiodło się ukazanie, że gdzieś w zakątkach polskiej duszy tkwią odłamki pomnika, powiedzmy, Dekalogu Polaka (gdyby taki kiedykolwiek powstał). Tyle że napisać o tym w pomnikowym stylu, w którym studenci są bici za demokrację, robotnicy giną za godność, a wszystkich nas gnębią za Polskę, jest jakoś łatwo. Stokowski szuka innych odłamków. Dobroć, szlachetność, troska o drugiego człowieka... Wreszcie, pewna ambicja, by nie przeżyć życia jak muł, z klapkami na oczach i wystudzonym sercem. By mieć odwagę patrzenia. I odwagę solidarności, kiedy nasunie się okazja. I z tymi chaotycznie pozbieranymi odłamkami... coś kiedyś zrobić. Bo tak trzeba.

PRL upadł dzięki ożywieniu się w narodzie najpiękniejszych polskich cech. Kolonizacja przez ZSRR nie zakładała, że nad Wisłą mieszkać będą postpolscy Rosjanie. Prowadziła natomiast w kierunku Polaków pozbawionych narodowej ambicji. Słabo zakorzenionych we własnej tożsamości, uznających oczywisty prymat Partii, której sekretarze uznawali z kolei za oczywisty prymat władzy ZSRR, „wzorowego państwa robotników i chłopów”. Za warunek swojego panowania stawiali sowiecką bierność poddanych i minimalizm ich marzeń. „Lotnicho” pokazuje, dlaczego ten projekt się nie udał.

„LOTNICHO” JEST WYBITNE LITERACKO – TO PIERWSZA SPRAWA, ALE DRUGA, MOŻE NAWET WAŻNIEJSZA – TO TEN CAŁY PRL.

eprasa.pl be96d77ae9

Kolorowe linie na mapach

Oficjalnie, po latach stagnacji, przerywanej wyłącznie punktowymi sukcesami, przed tramwajami rysuje się nienajgorsza przyszłość. Nikt już nie chce likwidować zachowanych systemów tramwajowych, co więcej – wracają one i na Zachodzie. Do powrotu tego środka lokomocji po 60 latach przerwy szykuje się nawet Korea Południowa. Nie uwierzycie – jednym z impulsów do podjęcia tej decyzji było **kontrowersyjne warszawskie zamówienie** złożone na nowoczesne wagony tramwajowe w konsorcjum Hyundai Rotem. Nie tak dawno pierwszy tramwaj ruszył w swoją próbną podróż po Seulu. A u nas? Cóż, bywa różnie.

Krzysztof Karnkowski



Fot. M. Żegliński

Zacznijmy od poziomu unijnego. Unia Europejska nie prowadzi osobnej polityki tramwajowej i nie nakazuje miastom budowy nowych linii, stworzyła jednak system strategiczny i finansowy wyjątkowo sprzyjający rozwojowi transportu szynowego. W dokumentach unijnych transport publiczny określany jest jako kręgosłup mobilności miejskiej, a rozwój nisko- i bezemisyjnych środków transportu ma służyć ograniczaniu zależności miast od samochodu oraz realizacji celów klimatycznych. Tramwaje są przy tym wprost wymieniane w regulacjach dotyczących funduszy europejskich jako infrastruktura, której budowę

eprasa.pl be96d77ae9

i modernizację można finansować i której rozwój jest jednym z mierników polityki spójności. Podobną logikę przyjęły polskie dokumenty strategiczne, przede wszystkim Krajowa Polityka Miejska 2030 i Strategia Zrównoważonego Rozwoju Transportu, stawiające na niskoemisyjny transport zbiorowy i zmianę modelu mobilności w miastach.

HISTORIA POLSKICH TRAMWAJÓW ZACZYNA SIĘ JESZCZE POD ZABORAMI.

Inwestycje tramwajowe wyjątkowo dobrze wpisują się w cele unijne i mogą liczyć na znaczące wsparcie z FEnIKS, programów regionalnych czy KPO, a jednak często napotykają trudności. W latach 60. i 70. tramwaje (i trolejbusy) bywały często usuwane jako przeszkoda dla „nowoczesnego" miasta samochodowego. Dzisiejsza polityka europejska premiuje dokładnie odwrotny kierunek: rozwój elektrycznego transportu zbiorowego i ograniczanie dominacji samochodu. Uderzające w posiadaczy aut regulacje i rosnące koszty eksploatacji opisywaliśmy wielokrotnie. Na unijnym ekoszaleństwie w teorii korzystać powinien chociaż zbiorowy transport, w tym uważany za ekologiczny tramwaj. Przecież jeszcze w latach 90. nasi ekolodzy promowali hasło „Tramwaj zamiast spalin". Dziś nowe odcinki torów budują lub planują takie miasta, jak: Warszawa, Kraków, Wrocław (choć wciąż nie chodzi tu o legendarny „tramwaj na Jagodno"), Poznań, Katowice, Bydgoszcz i Toruń. Nowy odcinek torów buduje się nawet w Łodzi, choć równocześnie wciąż niszczeje i degeneruje się tamtejszy unikalny system tramwajów podmiejskich, który w ostatnich kilkunastu latach został wycofany z kilku podłódzkich miasteczek.

Od konia do autobusu

Historia polskich tramwajów zaczyna się jeszcze pod zaborami, jest więc idącą w rytmie okupujących nas imperiów częścią europejskiej rewolucji komunikacyjnej przełomu XIX i XX wieku. W latach 90. XIX w. prąd szybko zastępował konie: tramwaje elektryczne ruszyły m.in. we Wrocławiu w 1893 roku, Bielsku i Elblągu w 1895, Gdańsku i Bydgoszczy w 1896, Szczecinie w 1897, Poznaniu i Łodzi w 1898, a na Górnym Śląsku elektryfikacja rozpoczęta w 1898 roku wypierała wcześniejszą trakcję parową. W Poznaniu elektryczne wagony zastąpiły w 1898 roku dwie linie konne, w Gdańsku zaś proces rozpoczęty w sierpniu 1896 roku w ciągu kilku miesięcy objął główne kierunki miejskiej sieci. Do wybuchu II wojny światowej tramwaj stał się podstawowym środkiem transportu zbiorowego wielu dużych i średnich miast, ale wojna przyniosła sieciom zniszczenia torów, trakcji, elektrowni i zajezdni oraz ogromne straty taborowe. W Gdańsku po zakończeniu walk tylko około 5 proc. wagonów wymagało drobnych napraw, około 60 proc. poważnych remontów, a pozostałe były praktycznie wrakami; podobny obraz zrujnowanej infrastruktury występował w wielu miastach objętych ciężkimi walkami. Poza granicami Polski zostały mające swoje sieci tramwajowe Wilno, Lwów i Kołomyja (jako jedyna aż do lat 60. obsługiwana przez tramwaje parowe). Z kolei w kilku miastach, które przecięła nowa granica zachodnia, tramwaje zniknęły z ich polskiej części, choć wciąż jeździły po niemieckiej stronie. W wielu miastach ruszyła odbudowa sieci, jednak często okazywała się ona tak naprawdę marnotrawstwem – postawiona dużym wysiłkiem infrastruktura wkrótce zaczęła znikać jako przeżytek. Od końca lat 50. do początku lat 70. przez Polskę przeszła fala likwidacji tramwajów w średnich miastach: Słupsk stracił je w 1959 roku, Inowrocław w 1962, Olsztyn w 1965, Wałbrzych w 1966, Legnica w 1968, Jelenia Góra w 1969, a Bielsko-Biała w 1971 roku. Nie doszło jednak do ogólnopolskiego odwrotu od tramwajów na skalę znaną z części Europy Zachodniej. Duże systemy – krakowski, poznański, wrocławski, gdański, łódzki czy górnośląski – przetrwały i były rozwijane, podobnie jak mniejsze sieci w Bydgoszczy, Toruniu, Elblągu, Grudziądzu i Gorzowie; w 1959 roku powstała nawet od podstaw nowa sieć w Częstochowie.

W DOKUMENTACH UNIJNYCH TRANSPORT PUBLICZNY OKREŚLANY JEST JAKO KRĘGOSŁUP MOBILNOŚCI MIEJSKIEJ.

Zryw i marnotrawstwo

Przed wojną Warszawa miała już rozbudowaną i gęstą sieć tramwajową wyrosłą z uruchomionych

eprasa.pl be96d77ae9

w 1866 roku tramwajów konnych i zelektryfikowaną w 1908 roku; w dwudziestoleciu międzywojennym tory podążały za powiększającym się miastem, a czasem nawet wyjeżdżając lekko poza jego ówczesne granice – docierając na Bródno, Kamionek, Okęcie, do Wilanowa i na Wyścigi. Powstanie Warszawskie i planowe niszczenie miasta doprowadziły system do ruiny, jednak odbudowę rozpoczęto niemal natychmiast: pierwszy powojenny tramwaj ruszył na mniej zniszczonej Pradze 20 czerwca 1945 roku. Odtwarzanie komunikacji połączono z wielką modernizacją techniczną, przede wszystkim zmianą rozstawu szyn z rosyjskiego 1524 na normalne 1435 mm; Warszawa nie kopiowała przy tym dokładnie układu sprzed 1939 roku, lecz budowała sieć odpowiadającą nowej strukturze miasta. Powstawały wielkie trasy prowadzone nowymi arteriami i na wydzielonych torowiskach, a tramwaj pozostawał jednym z podstawowych środków masowego transportu; dobrym symbolem tej ofensywy była zbudowana od podstaw, licząca 8,4 km trasa z rejonu placu Unii Lubelskiej przez Sielce i Dolny Mokotów do Wilanowa, otwarta w 1957 roku. Równocześnie jednak już podczas odbudowy zaczęto przerzedzać przedwojenną, gęstą sieć uliczną, a od końca lat 50. proces ten wyraźnie przyspieszył. Ślady tego dawnego stylu miejskiej obecności tramwaju do dziś znaleźć można na Pradze, w okolicy pętli Czynszowa. Tramwaje usunięto z części Traktu Królewskiego, w 1960 roku z południowego Nowego Światu, Placu Trzech Krzyży, Książęcej i Solca, w 1967 roku z Rakowieckiej, w 1968 z Ząbkowskiej i Radzymińskiej, a w 1973 roku z Pułkowej oraz z całego kierunku Sadyba – Wilanów. Władze nie rezygnowały z tramwaju jako takiego, lecz coraz wyraźniej preferowały jego arteryjną odmianę: szybki, pojemny transport na wydzielonym torowisku; tramwaj w tradycyjnej ulicy, konkurujący o miejsce z rosnącym ruchem samochodowym, uznawano za kłopot. Oficjalna historia trasy wilanowskiej wprost wiąże jej likwidację z rozbudową dróg i zastępowaniem tramwajów autobusami i budową Wisłostrady. Warszawa nie przeżyła zagłady tramwajów znanej z wielu średnich miast, lecz zmianę charakteru sieci z gęstej, ulicznej na rzadszą i podporządkowaną kilku wielkim osiom przewozowym. Po 1973 roku nastąpił długi okres stagnacji przestrzennej. Budowano pojedyncze nowe odcinki, kupowano tabor i modernizowano istniejące torowiska, jednak sieć nie nadążała za rozwojem przestrzennym miasta. Zmiany prześledzić można na starych, dostępnych w sieci planach Warszawy, gdzie stopniowo linie czerwone (tramwaj) ustępują niebieskim (autobus). Po drodze znikają też uzupełniające ofertę komunikacyjną trolejbusy. Graniczny wydaje się tu plan miasta z 1970 roku, na którym widzimy jeszcze sporo dożywających swoich dni linii, w tym tę na Wilanów czy w centrum – na Żelaznej.

> NA UNIJNYM EKOSZALEŃSTWIE W TEORII KORZYSTAĆ POWINIEN CHOCIAŻ ZBIOROWY TRANSPORT, W TYM UWAŻANY ZA EKOLOGICZNY TRAMWAJ.

Słynny Wilanów

W 1992 roku tramwaj przedłużono przez zachodnią Warszawę do Osiedla Górczewska, w 1997 roku powstała trasa na Nowe Bemowo, a w następnej dekadzie domknięto połączenie w ciągu Powstańców Śląskich i al. Reymonta. Były to jednak pojedyncze inwestycje, a Bemowo stanowiło wyjątek wśród warszawskich dzielnic. Symbolem zarazem wielkich ambicji, jak i niemocy stała się tzw. flamastermapa z początku XXI wieku, plan rozwoju sieci tramwajowej w Warszawie, przygotowana przez stowarzyszenie Siskom. Większość koncepcji nie weszła w fazę realizacji, inne złapały wieloletnie opóźnienie. Prawdziwa zmiana przyszła wraz z modernizacją przedsiębiorstwa, wymianą taboru i rosnącym wyko-

> ZMIANY PRZEŚLEDZIĆ MOŻNA NA STARYCH PLANACH WARSZAWY, GDZIE STOPNIOWO LINIE CZERWONE (TRAMWAJ) USTĘPUJĄ NIEBIESKIM (AUTOBUS).

eprasa.pl be96d77ae9

rzystaniem funduszy europejskich. Symboliczną cezurą stał się rok 2014, gdy otwarto 5,5-kilometrową trasę z Metra Młociny na Tarchomin, później przedłużaną do Nowodworów i Winnicy. Od tej chwili Warszawa przeszła od sporadycznej rozbudowy do rzeczywistej, choć wciąż problematycznej ekspansji systemu. Kulminacją był rok 2024: nowe tory na Kasprzaka, Gagarina i do Miasteczka Wilanów zwiększyły długość sieci o ponad 10 km. Pamiętajmy jednak, że koncepcja odbudowy tej ostatniej linii pojawiła się jeszcze podczas prezydentury Lecha Kaczyńskiego w stolicy, a budowę udało się skończyć dopiero wtedy, gdy stała się sztandarową inwestycją prezydenta Rafała Trzaskowskiego, pomocną w prowadzeniu kampanii wyborczej – ale i tak otoczenie nowych linii jeszcze miesiącami pozostawało obrazem nędzy i rozpaczy. W 2025 roku, niemal sześć dekad po likwidacji dawnej trasy, tramwaj wrócił również na Rakowiecką, Równolegle trwa budowa połączenia z Dworcem Zachodnim. Wciąż jednak brak widoków na budowę kluczowego dla tej trasy odcinka przez Pole Mokotowskie łączącego Mokotów z Ochotą. Gocław natomiast tramwaju wciąż nie może się doczekać, choć mówi się o nim co najmniej równie długo. Widać też, że nie wszyscy są zadowoleni, całe osiedla protestowały przeciwko ograniczaniu połączeń autobusowych w chwili otwarcia tramwaju. Każda nowa inwestycja lub plan budzi sprzeciwy i żarliwe dyskusje w facebookowych grupach osiedlowych. Gdy jedni chcą szybciej dojechać do pracy lub na dworce, inni obawiają się hałasu i zmiany charakteru poszczególnych ulic. Co ciekawe, z dala od wielkomiejskiego zgiełku udało się reaktywować kilka lat temu linię... tramwaju konnego w mazowieckich Mrozach.

„MŁODZI, WYKSZTAŁCENI LUDZIE PRZY WYBORZE MIEJSCA DO ŻYCIA KIERUJĄ SIĘ JAKOŚCIĄ PRZESTRZENI MIEJSKIEJ I MOBILNOŚCIĄ. NOWOCZESNY TRAMWAJ DAJE IM WIELKOMIEJSKI STANDARD”.

Szyny donikąd

Od co najmniej kilkunastu lat śledzę dyskusję na temat powrotu tramwajów lub budowy potrzebnej infrastruktury w wielu polskich miastach. Zwolennicy uważają, że ta forma komunikacji może przyspieszyć komunikację miejskich sypialni z centrami. Radomscy zwolennicy tramwaju, skupieni na profilu „Tramwaj w Radomiu” na FB, niedawno cytowali argumenty za budową sieci... w Kielcach, które wymienił czytelnik portalu wKielcach.info: „Budowa systemu tramwajowego to obecnie jeden z niewielu tak potężnych projektów miastotwórczych, który może realnie pomóc powstrzymać zapaść demograficzną miasta, działając na wielu płaszczyznach naraz. To nie jest po prostu środek transportu – to inwestycja strategiczna, która jako jedna z niewielu skutecznie ogranicza kosztowne zjawisko rozlewania się miasta na przedmieścia i pozwala zatrzymać kluczowych podatników w jego granicach administracyjnych [...]. Magnes na studentów i klasę średnią: Młodzi, wykształceni ludzie przy wyborze miejsca do życia kierują się jakością przestrzeni miejskiej i mobilnością. Nowoczesny tramwaj daje im wielkomiejski standard”. Argumenty pasują i do Kielc, i do Radomia, a przykład Olsztyna potwierdza, że warto próbować. W tym mieście tramwaj zlikwidowano, by po 50 latach uruchomić, a następnie rozbudować zupełnie nową, nowoczesną i atrakcyjną również widokowo sieć, łączącą peryferyjne, wielkie blokowiska, starówkę, dworzec i uniwersytet. Niestety, Olsztyn pozostaje wyjątkiem na mapie Polski, inne miasta tej wielkości wybierają wciąż autobusy, a niektóre śnią o metrze. Z tym ostatnim problem ma też Warszawa. Choć budowa metra jest 10 razy droższa, według polityków dziesięciokrotnie lepiej brzmi w materiałach wyborczych. A w ostatecznym rachunku nowe szyny nad i pod ziemią pozostają blaknącymi liniami na hobbistycznych i urzędowych mapach.

CHOĆ BUDOWA METRA JEST 10 RAZY DROŻSZA, WEDŁUG POLITYKÓW DZIESIĘCIOKROTNIE LEPIEJ BRZMI W MATERIAŁACH WYBORCZYCH.

eprasa.pl be96d77ae9

Wielki Brat pije, mieszkańców suszy

Ogromne centra danych budowane przez cyfrowych gigantów, takich jak META czy Microsoft, pochłaniają nie tylko ogromne ilości prądu, ale także wody, co w rejonach pustynnych i półpustynnych stanowi **zagrożenie egzystencjalne** dla lokalnych społeczności.

Agnieszka Żurek



Wielkie korporacje mamią obywateli perspektywami rozwoju ich regionów i tworzeniem nowych miejsc pracy, w praktyce jednak obietnice te okazują się iluzoryczne, a obywatele skarżą się na brak dialogu społecznego w procesie cyfrowej transformacji.

Nowy „wyścig zbrojeń"

„Jeśli nie wygramy tego wyścigu, wygrają go Chiny" – brzmi dyżurny argument szefów firm stawiających centra danych. Wydaje się on jednak nie trafiać już do wkurzonych amerykańskich farmerów. – To my jesteśmy waszymi pracodawcami, nie Google! – przypominają przedstawicielom lokalnych władz podczas – wymuszanych często przez mieszkańców – spotkań z reprezentantami samorządów. Przychodzą na te spotkania ze słoikami z brązową mętną cieczą i pokazują, że to właśnie płynie teraz z ich kranów. Inni skarżą się na wyschnięte studnie i na niemożność nawadniania swoich pól. Podkreślają, że na całej sytuacji najbardziej cierpią osoby starsze, schorowane, ludzie z niepełnosprawnościami i dzieci. Wydaje się, że próby przekonywania pokrzywdzonych argumentami o wyścigu technologicznym z Chinami mogą okazać się równie „skuteczne", jak zimnowojenna propaganda o konieczności ponoszenia kolejnych wyrzeczeń egzystencjalnych na rzecz potencjalnego zwycięstwa w wyścigu zbrojeń.

Jak pokazał niedawny raport Gallupa, aż siedmiu na dziesięciu Amerykanów sprzeciwia się budowie centrów danych dla sztucznej inteligencji w swojej okolicy, w tym niemal połowa, czyli 48%, sprzeciwia się temu radykalnie. Jedna czwarta ankietowanych jest „za", a „zdecydowanie za" – tylko 7%.

eprasa.pl be96d77ae9



Fot. Adobe Stock

– Te wyniki są pierwszym przypadkiem, gdy Gallup zapytał o budowę centrów danych – temat, który spotkał się z ostrym sprzeciwem lokalnych mieszkańców w wielu częściach kraju. Te centra danych mieszczą sprzęt komputerowy, który napędza technologię AI wykorzystywaną przez firmy, uniwersytety i inne instytucje. Centra zajmują rozległe tereny, wymagają dużych ilości energii elektrycznej do działania oraz potrzebują dużej ilości wody do chłodzenia sprzętu, co budzi obawy dotyczące ich wpływu na środowisko i lokalne rachunki za prąd – komentuje te wyniki Jeffrey M. Jones, analityk Gallupa. – Połowa przeciwników wspomina o nadmiernym zużyciu zasobów przez centra danych, w tym 18% z każdego z nich wspomina o korzystaniu z wody i energii. Szesnaście procent wskazuje na powiązane zanieczyszczenie środowiskowe, w tym hałas oraz zanieczyszczenie powietrza i wody – dodaje. – Około jeden na pięciu przeciwników obawia się wpływu na lokalną jakość życia, w tym wzrost liczby ludności, zwiększony ruch oraz wykorzystywanie ziemi do innych celów niż preferowane przez lokalnych mieszkańców. Podobny odsetek wspomina o potencjalnie negatywnych konsekwencjach ekonomicznych, takich jak wyższe rachunki za media, wzrost kosztów utrzymania oraz koszty budowy centrów danych (co może wiązać się z wykorzystaniem środków podatników) – wylicza Jones.

Warto odnotować, iż sprzeciw Amerykanów wobec budowy wielkich centrów danych jest tak duży, że większość z nich wolałaby mieszkać w pobliżu elektrowni jądrowej niż infrastruktury obsługującej sztuczną inteligencję.

Brak dialogu społecznego

Z sondażu Gallupa wynika, że jest to sprzeciw powszechny i nie da się go przyporządkować do określonej grupy wiekowej, kryterium dochodowego, rasowego czy do poziomu wykształcenia. Oznacza to, że stosunek do budowy wielkich centrów gromadzenia danych może stać się istotną kwestią w najbliższych wyborach w Stanach Zjednoczonych.

Mieszkańcy wskazują na pominięcie dialogu społecznego w procesie powstawania wielkich centrów danych, na stawianie ich przed faktem dokonanym, na swoją bezsilność wobec koncernów – molochów i na zaburzenie dotychczasowego poczucia bezpieczeństwa. Mówią o hałasie, niedającym spać oświetleniu, o braku wody, o lęku o przyszłość dzieci i o rozpaczy z powodu konieczności wyprowadzki ze swoich domów i farm dziedziczonych często „z dziada pradziada”. – Dlaczego mamy zaorać nasze farmy, rodzinne gospodarstwa dziedziczone po naszych przodkach po to, żeby grupa ludzi dorobiła się ogromnych fortun, kradnąc gigantyczne pieniądze od innej grupy ludzi? To nie ma sensu – stwierdza jeden z rolników w podcaście pt. „Co każdy Amerykanin powinien wiedzieć o centrach danych” opublikowanym na kanale Tommy’ego McGee.

eprasa.pl be96d77ae9

W tym samym filmie pojawia się również niepokojąca wypowiedź sygnalisty pracującego dla jednego z cyfrowych gigantów, który bez ogródek stwierdzał, że tworzona jest obecnie bardzo niebezpieczna utopia, „narzędzie, które będzie znać cię lepiej niż ty samego siebie". Rozmówca Tommy'ego McGee dodaje również, iż prywatna komunikacja pomiędzy pracownikami jego firmy była inwigilowana przez oprogramowanie szpiegowskie zainstalowane przez pracodawcę.

Cyfrowe więzienie

Cyfrowi giganci mamią lokalne społeczności perspektywą tworzenia nowych miejsc zatrudnienia, jednak w praktyce jest to najczęściej iluzja. Centra faktycznie potrzebują wielu rąk do pracy, jednak jedynie na etapie budowania tych konstrukcji. Kiedy już powstaną, w ogromnej mierze są zautomatyzowane i stopień zatrudnienia w tych miejscach jest nieproporcjonalnie mały w stosunku do kosztów funkcjonowania tych inwestycji oraz kosztów zużycia energii, nie mówiąc już o kosztach społecznych i środowiskowych. Na dodatek nawet na etapie stawiania tych molochów „pożywić" mogą się zazwyczaj lokalni decydenci wydający odpowiednie zgody na budowę, a zwykli mieszkańcy niekoniecznie znajdą tam zatrudnienie z uwagi na to, że korporacje często wożą ze sobą własne ekipy budowlane składające się z ludzi rozproszonych po całych Stanach. Utrudnia to jakikolwiek „bunt na pokładzie", a poprzez brak stosunku emocjonalnego do miejsca, w którym dane centrum jest budowane, ogranicza możliwość porzucenia pracy z powodu konfliktu sumienia. Dzieje się tak nawet pomimo przyznawania przez niektórych budowlańców, że uczestniczą oni w tworzeniu „cyfrowych więzień" i że czują się jak na planie dystopijnego filmu tudzież jakby brali udział w ekranizacji książki „Nowy, wspaniały świat". „Ale kasa się zgadza" – dodają.

> CENTRA POTRZEBUJĄ WIELU RĄK DO PRACY, JEDNAK JEDYNIE NA ETAPIE BUDOWANIA TYCH KONSTRUKCJI. KIEDY JUŻ POWSTANĄ, W OGROMNEJ MIERZE SĄ ZAUTOMATYZOWANE.

W imię bezpieczeństwa

Najwięcej centrów danych powstało w stanie Północna Wirginia, nie brakuje ich jednak także na terenach zmagających się z niedostatkami wody, takimi jak Arizona, Kalifornia czy Utah. To właśnie społeczność Utah zjednoczyła się ostatnio przeciwko projektowi Stratos, czyli największemu centrum danych w USA z przeznaczeniem na cele wojskowe. Miałby on zająć 16 tysięcy hektarów i zużywać 9 gigawatów energii (tyle, ile w godzinach szczytu zużywa Nowy Jork). Miałby on być całkowicie niezależny od sieci energetycznej i zasilany przez własną elektrownię na gaz ziemny zlokalizowaną na terenie obiektu. Projekt cieszy się poparciem Urzędu ds. Rozwoju Obiektów Wojskowych (Military Installation Development Authority). Dzięki temu mógł on ominąć standardowe procedury stosowane przy zatwierdzaniu planów zagospodarowania przestrzennego, ponieważ został uznany za kluczowy dla bezpieczeństwa narodowego. Stratos wszedł niedawno w fazę realizacji i wzbudził ogromne oburzenie wśród mieszkańców i przedstawicieli organizacji ekologicznych.

> STOSUNEK DO BUDOWY WIELKICH CENTRÓW GROMADZENIA DANYCH MOŻE STAĆ SIĘ ISTOTNĄ KWESTIĄ W NAJBLIŻSZYCH WYBORACH W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Eksperci szacują, że kompleks zużywałby dwukrotnie więcej energii niż całe stanowe zapotrzebowanie Utah, co oznacza, że emisje gazów cieplarnianych w stanie mogłyby wzrosnąć nawet o 50–75%. Naukowcy ostrzegają także, iż generowanie tak dużej emisji ciepła na suchym terenie może doprowadzić do powstania efektu „wyspy ciepła", drastycznie zmieniając lokalny klimat. Kto by się jednak takimi szczegółami przejmował. Wielki Brat ma ważniejsze cele. I zapewne już niedługo będzie ze swoich baaardzo wysokoemisyjnych centrów danych monitorował, czy aby zwykły śmiertelnik nie użył przypadkiem plastikowej słomki do napoju, kiedy postanowił się choć trochę na tej „wyspie ciepła" ochłodzić.

eprasa.pl be96d77ae9

KARUZELA BLOGERAMI

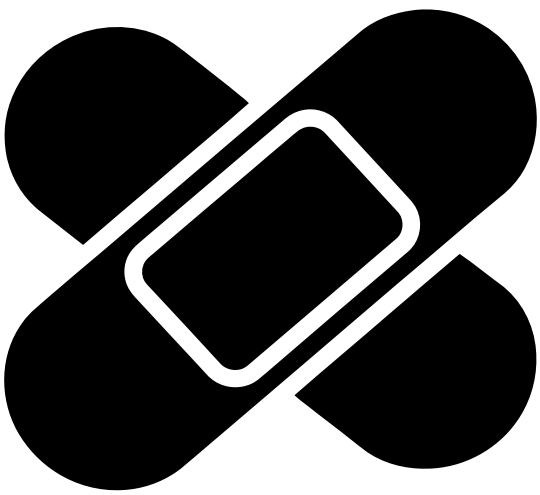
FERDYNAND FODDER

POLSKA NIHILISTYCZNA

Niesamowite, ile zdziałać można w zaledwie dwa i pół roku. Rząd Donalda Tuska dokonał w tym czasie rzeczy, zdawałoby się, niemożliwej: wzmocnił niemal każdą z patologii, jaka kiedykolwiek trawiła III RP. Nihilizm państwowy późnego Tuska jest czymś, co będzie prześladować nas przez lata – a jego odwrócenie będzie najważniejszym zadaniem nowej władzy, sformowanej po nadchodzących wyborach.

Mówienie o „duszy państwa" brzmi dziś jak anachronizm, fraza wyrwana z odległej przeszłości. A jednak trudno tego pojęcia uniknąć, kiedy próbuje się opisać, co właściwie pękło tu aż tak straszliwie w ostatnim czasie. Państwo, wbrew temu, co sugerują podręczniki WOS-u, nie jest wyłącznie sumą terytorium, społeczeństwa i systemu władzy. Posiada również aspekt metafizyczny, określający jego charakter w stopniu niemniejszym niż te elementy. Aspekt ten definiuje, *czyje* jest to państwo, *po co* istnieje, *komu* i *czemu* służy – i jak poważnie traktuje odpowiedzi na wszystkie te pytania. Ujawnia się on w reakcji – albo jej braku – na chwile kryzysu. Chwile, w których wybrać trzeba między ochroną życia, zdrowia i godności obywateli a doraźnym interesem politycznym rządzących.

Afera w Warszawskim Szpitalu Południowym mówi więcej o kondycji naszego państwa niż jakikolwiek raport, sondaż czy płomienna przemowa. Nie chodzi nawet o to, co odbywało się w samej placówce, choć niewątpliwie są to rzeczy gorszące i wymagające reakcji. Stan państwowej „duszy" ujawnił się w reakcji administracji, organów ścigania, liberalnych mediów, wreszcie samych polityków. W wiadomości premiera umieszczonej w serwisie X, w której podważał wiarygodność sygnalisty – i w nagonce na niego, odpalonej zaraz potem; w niespiesznym uruchamianiu śledztwa; w braku zainteresowania natychmiastowym zabezpieczeniem dowodów, w zignorowaniu zgłaszających się świadków, którzy nawet teraz – miesiąc po ujawnieniu afery – nie mogą doczekać się przesłuchania.



Fot. Adobe Stock

Politycy rządzącej koalicji wysłali jasny sygnał: nie poczuwają się do odpowiedzialności. Co jednak gorsze, do wyjaśniania sprawy nie poczuły się także organy administracji niższego szczebla. Niezależnie od tego, czy i w jakiej formie ukręcane byłyby kolejne sprawy – nie nadeszła żadna reakcja potrzebna z punktu widzenia obywateli. Tragedia ustrojowa polega na tym, że państwowy aparat kontroli i ścigania stracił zdolność do moralnego oburzenia w ich obronie. Jak udowadnia Polska Donalda Tuska – nihilizm może być spójną filozofią rządzenia.

Nie pozostanie to bez konsekwencji. Nie wiemy, ilu sygnalistów nie zgłosi się teraz w sprawie nieprawidłowości w swoich zakładach pracy – i jak skończy się to dla zdrowia i życia kolejnych Polaków. Możemy być pewni, że reakcja rządzących dołoży niemałą cegiełkę do zaniku poczucia zbiorowej lojalności wobec państwa. Wzmacnianie w obywatelach autentycznego odczuwania obowiązku nie jest łatwą rzeczą nawet wówczas, gdy ci nie postrzegają swojej państwowości jako jednoznacznie niesprawiedliwej – i nienależącej do nich.

Polska istnieje, ale nie wie, po co jest. Ktokolwiek będzie chciał nią zarządzać, powinien zastanowić się nad tym pytaniem i sformułować na nie publiczną odpowiedź.

eprasa.pl be96d77ae9

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Piractwo było jednym z najbardziej charakterystycznych zjawisk pierwszych lat po transformacji ustrojowej. W realiach ubogiego społeczeństwa nielegalne kasety, filmy i oprogramowania trafiały do niemal każdej miejscowości, a handel nimi, pomimo ryzyka, dla wielu stawał się **kuszącym sposobem na szybki zarobek**. W archiwalnym tekście „Spokojny sen pirata”, opublikowanym w nr. 15 (238) „Tygodnika Solidarność” 9 kwietnia 1993 roku, Anita Błaszczak pokazuje ten proceder z perspektywy osoby wchodzącej w piracki biznes i opisuje skalę zjawiska. Artykuł przypominamy z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność”.

Spokojny sen pirata

Anita Błaszczak

Tak naprawdę zaczął się bać chyba wtedy, w grudniu. Tamtego wieczora ani mamy, ani siostry nie było na szczęście w domu. Czytał coś, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Za drzwiami stał Jureczek z jakimś osiłkowatym kumplem.

Jureczek szybko wyjaśnił: podobno Piotr wziął ostatnią partię kaset bezpośrednio od Marcina, pomijając Jureczka i jego prowizję. Piotr zaczął się gorączkowo tłumaczyć: że to tylko raz, że miał pilne zlecenie, że oczywiście nadal będą razem pracować itd. Jureczek wyglądał na przekonanego, rozluźnił się i dopiero przy wyjściu zaskoczył Piotra. Scena była jak z kiepskiego gangsterskiego filmu; Jureczek złapał Piotra za koszulę i wycedził, że jeszcze jeden taki numer, a z jego Golfa zostanie kupa dymiącego złomu.

– Nie masz pojęcia – dodał – jak taki samochód szybko się pali i jak trudno go zgasić. I wyszli. Jego kumpel przez cały ten czas nawet się nie odezwał.

Piotrowi drżały trochę ręce – gdy zapalał papierosa. Gdyby ta historia z Jureczkiem zdarzyła się w listopadzie, pewnie dałby sobie spokój z kasetami, ale w grudniu szkoda mu było zostawić takie pieniądze.

Piotr raczej odbiega od mojego wyobrażenia o cwanym piracie; nie chodzi w amerykańskiej skórze ani w białych skarpetkach; na co dzień jest studentem. Zna dobrze dwa języki obce i jest nieśmiały. W trasie najchętniej słucha Cohena i Grechuty. Od pół roku rozwozi po wypożyczalniach pirackie kasety wideo.

Zaczął we wrześniu, po powrocie z Finlandii. 2,5-miesięczne saksy na plantacji truskawek pozwoliły mu na kupno starego Golfa. Któregoś dnia spotkał Jureczka, dawnego kolegę z podwórka, a obecnie współwłaściciela hurtowni kaset wideo. Jureczek wziął jego numer telefonu. Po dwóch tygodniach zadzwonił; rozbił samochód, a musi pilnie zawieźć partię kaset do Łodzi. Piotr chętnie pomógł dawnemu koledze, tym bardziej że pomoc ta nie była za darmo.

Juraczek kilkakrotnie korzystał jeszcze z pomocy Piotra. Ten ze swej strony szybko zorientował się, że hurtownia mieści się w mieszkaniu Jureczka, a podstawą jego działalności są fikcyjne faktury i rachunki nieistniejących firm-dystrybutorów kaset.

W październiku Piotr doszedł do wniosku, że może lepiej zarobić, działając na własną rękę. Jureczkowi pomysł nawet się spodobał; zgodnie z umową, miał dostarczać lipne rachunki i kasety,

Zachodni dystrybutorzy szacują straty z tytułu wideopiractwa w Polsce na 45 mln dolarów. Polscy dystrybutorzy obliczają, że to zjawisko obniża ich dochody o 30–40% (kasety pirackie to 30–40% obrotów na rynku wideo). Inspekcja antypiracka, działająca przy Komitecie Kinematografii, udostępnia listę ponad 40 fikcyjnych firm dystrybucyjnych, których nazwy widnieją na okładkach „piratów”.

eprasa.pl be96d77ae9


Święta, Święta, Święta

Tygodnik Solidarność

Nr 15 (238) Rok VI
9 kwietnia 1993
Cena 5000 zł

Zdrowych i radosnych Świąt Wielkanocnych oraz pokrzepienia się z umiarem

Spokojny sen pirata

Kto ukradł Polskę?


10 PIENIĄDZE I PRAWO

Spokojny sen pirata

Kto ukradł Polskę

11 SENSACJE

Tajemnica Całunu Turyńskiego

PIWNICE POLSKIE

a Piotr je rozprowadzał na swoim terenie. Łódź, Poznań i Bydgoszcz obstawia Jureczek, a Warszawa i Kraków były zarezerwowane dla jego wspólnika Marcina. Piotr mógł próbować w Białymstoku, Olsztynie, w mniejszych miastach i gdzieś dalej od Warszawy.

Na debiutancki wyjazd wybrał Olsztyn. Może dlatego że jeździł tam kiedyś na wakacje i dobrze znał miasto.

– Najważniejsze – jak mówi Piotr – jest dobrze trafić na początku.

W Olsztynie miał szczęście; właścicielka pierwszej wypożyczalni, do której wszedł, miała wprawdzie swojego stałego dostawcę, ale chętnie kupiła kilka nowości po niższej cenie. (Piotr sprzedawał filmowe hity po 190 tys., a hurtownia D. brała za swoje „piraty” po 230 tys.). W tej pierwszej wypożyczalni Piotr dostał adresy kilku innych wideoshopów.

Jako osoba z polecenia Piotr nie musiał już w tych wypożyczalniach przełamywać bariery podejrzliwości. W ciągu kilku zaledwie godzin zarobił na czysto prawie 2 miliony, bez podatku.

Październik był niezły, ale w listopadzie zarobił tylko 5 milionów. Za to przedświąteczna koniunktura w grudniu postawiła go na nogi; zarabiał po 3 miliony codziennie, tyle, ile jego matka na miesiąc. W grudniu postanowił, że będzie jeździł jak długo się da.

Piotr twierdzi, że nie jest ryzykantem. Być może mógłby zarabiać więcej, ale zadowala go 700 tys. do miliona za dzień w trasie. To i tak daje mu 20 „baniek” miesięcznie. Na czysto, bez podatku. Liczy, że od początku października zarobił ok. 100 milionów. Jureczkowi płacił 130–160 tys. za kasetę, a sprzedawał ją po 200–210 tys. (wystawiając rachunki na 300–350 tys. za sztukę). Te ok. 50 tys. na kasecie, to jest – jak twierdzi Piotr – zarobek optymalny. Więcej nie da się wyciągnąć (konkurencja), a za mniej nie bardzo się opłaca. 30–40 tys. zarabiał na kasecie Juraczek, który pośredniczył między Piotrem a Marcinem. Kim dokładnie jest Marcin, tego Piotr nie wie do dziś i specjalnie go to nie interesuje.

Piotr nie wie też, ile zarabia Marcin, któremu przypadł do gustu jego pomysł podzielenia się prowizją Jureczka. To właśnie wtedy Piotr

W krajach zachodnich okres karencji między wyświetlaniem filmu w kinach a udostępnianiem go na kasetach wynosi 3–6 miesięcy. W Polsce od kinowej premiery filmu do pojawienia się jego pirackich wideokopii mijają 2 tygodnie. Tyle wystarcza, aby film miał już dobrą reklamę i był poszukiwany przez klientów wypożyczalni. Pirackie kopie przebojów, takich jak „Milczenie owiec”, są dostępne równocześnie z wprowadzeniem filmu na ekrany.

Według ocen Komitetu Kinematografii ok. 15–20% zasobów wypożyczalni w większych miastach to kasety pirackie w miasteczkach i na wsiach udział „piratów” dochodzi do 50%.

eprasa.pl be96d77ae9

usłyszał, jak łatwo podpalić samochód, a zwłaszcza nieubezpieczony. Teraz Jureczka już się nie boi; nawet ostatnia groźba nasłania na niego „afgańców” (byłych żołnierzy ZSRR z Afganistanu) zbytnio Piotra nie poruszyła. Z Marcinem pracuje mu się o wiele lepiej. A przy tym ma o 20 tys. więcej na kasecie.

Ocenia się, że przez miesiąc piracki dystrybutor może wprowadzić na rynek ok. 1000–1500 egzemplarzy jednego tytułu (przy dobrym i znanym filmie). Po odliczeniu wszystkich kosztów jego przybliżony zarobek na kasecie wynosi minimum 50 000 zł. Wprowadzając co miesiąc 5 nowych tytułów, zarabia ok. 250 millonów bez podatku.

Nie boi się też jeździć do Poznania, Łodzi, Krakowa. Bywa tam wprawdzie rzadko (nie lubi przecież niepotrzebnego ryzyka), ale kilka razy udało mu się tam nieźle zarobić.

Mniej chętnie jeździ ostatnio do Olsztyna. To po tamtym zdarzeniu w styczniu; w jednej z wypożyczalni właściciel przedstawił się jako reprezentant oficjalnego dystrybutora i zaczął grozić Piotrowi policją i prokuratorem. Piotr złapał kasety, które chciał mu skonfiskować „przedstawiciel”, i szybko odjechał. Potem dowiedział się, że ów właściciel wypożyczalni jest dobrym znajomym szefów hurtowni D., monopolisty na olsztyńskim rynku „piratów”. Na wszelki wypadek Piotr podczas ostatniego wyjazdu do Olsztyna pożyczył samochód od kolegi.

Kilkanaście minut strachu przeżył też kiedyś pod Siedlcami, kiedy w listopotdowy poranek zatrzymał go policyjny patrol drogówki. Przy rutynowej kontroli policjant zajrzał do bagażnika (pech chciał, że akurat pełnego) i zainteresował się pudłami kaset; – Co, „piratami” handlujemy? – zapytał.

Piotr stanowczo zapewniał „pana władzę”, że kasety są najzupełniej legalne, bo proszę, oto faktury, rachunki. Wszystko z pieczątkami hurtowni, dystrybutorów. A że rachunki są z różnych miast? Cóż, kupuje raz tu, raz tam, gdzie taniej sprzedają. Budzący zaufanie wygląd Piotra, przekonujący ton uspokoiły policjanta. Gdy radiowóz zniknął w listopadowej mgle, Piotr trzęsącymi się rękami zapalił papierosa. Dopiero po kilku minutach trafił kluczykiem do stacyjki i mógł jechać do Siedlec.

Zgodnie z art. 58 Ustawy o Kinematografii piratowi złapanemu na gorącym uczynku grozi przepadek pirackich kaset, grzywna od 700 tys. do 500 mln złotych oraz kara pozbawienia wolności do 1 roku. Ale narażeni są głównie właściciele nielegalnych kopiarni (do których nie jest łatwo dotrzeć). Właściciel wypożyczalni może zawsze się tłumaczyć, że działał w dobrej wierze, że kupowal kasety na rachunki (cóż, że fałszywe...).

– Czego się wtedy bał? – przede wszystkim utraty towaru. Policjant mógł skonfiskować podejrzane kasety, a to oznaczałoby stratę 6 milionów. W listopadzie były to dla Piotra duże pieniądze.

Piotr ze sceptycyzmem śledzi groźne wieści z pola walki z wideopiractwem. Nie przeraża go zdjęcie walca miażdżącego pirackie kasety. Kilka widowiskowych akcji nie zaszkodzi raczej jego interesom. Choć ostatnio klienci podnieśli wymagania; teraz sprzedaje się same kinowe hity, wypożyczalnie nie chcą kupować mniej znanych filmów, nawet z dobrymi aktorami.

Dzisiejsze „piraty” są dobrej jakości, z profesjonalnym lektorem, z kolorowymi okładkami, opatrzone stosownymi znakami firmowymi i surowo brzmiącą formułą, dotyczącą przestrzegania licencyjnych praw dystrybutora. Dlaczego mają być złej jakości, skoro (jak twierdzi Piotr) przynajmniej jeden z oficjalnych dystrybutorów dorabia sobie produkcją „piratów”. Jeśli sam zainteresowany w ściganiu piractwa jest piratem (mam nadzieję, że jest to przypadek odosobniony), to nie dziwi krótki żywot Rapidu, instytucji, która chyba zbyt gorliwie, jak dla niektórych, zajmowała się tropieniem piratów.

Piotr nie czuje się przestępcą. Oburzyłby się, gdyby nazwać go np. paserem (pośrednictwo w sprzedaży kradzionego mienia). To, co on robi, to może być ostatecznie abstrakcyjnie brzmiące „naruszenie praw autorskich”, nigdy kradzież. Na razie planuje zmianę samochodu. Potem zacznie zbierać na mieszkanie. Do Finlandii na truskawki już nie pojedzie.

Po cofnięciu uprawnień agencji RAPID Asekuracja latem 1992 wideopiratów ściga utworzona przy Komitecie Kinematografii Inspekcja Antypiracka. Na terenie Rzeczypospolitej ma ona 11 pełnomocnych kontrolerów, a każdy pracuje z przeszkolonym asystentem. Razem daje to 22 ludzi.

eprasa.pl be96d77ae9

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Kłopot PiS-u z PiS-em

Kilka, a może kilkanaście tygodni. Tyle trwał rozejm między zwolennikami i przeciwnikami Mateusza Morawieckiego. Tym razem punktem zapalnym, choć może po prostu zwykłym pretekstem, okazało się duże wydarzenie organizowane przez środowisko byłego premiera 31 lipca w Warszawie. Do tego stopnia, że Jarosław Kaczyński, kolejny już raz, zmienił zdanie ws. funkcjonowania stowarzyszeń w swojej partii. Czy PiS wie, dokąd zmierza? Można mieć wątpliwości, a przynajmniej się w tym pogubić.

Są takie sytuacje w życiu, gdy zarówno ich uczestnicy, jak i obserwatorzy są nimi zmęczeni. Zakładam, że przynajmniej część z Państwa ich doświadczyła w takiej czy innej formie. Nie inaczej jest w polityce. To, co obserwujemy od kilku (?) miesięcy wokół Mateusza Morawieckiego, jest tego doskonałym przykładem. Wydaje się, że nawet główni zainteresowani są tym wszystkim lekko znużeni. Co w takim razie powiedzieć o wyborcach tej partii, którzy średnio co kilka tygodni otrzymują nowy przekaz?

Przyznaję, że czuję lekki niesmak, gdy kolejny już raz piszę dla Państwa o tym, co dzieje się w PiS. No dobrze, nie jest on ani lekki, ani taki znowu mały. Mniejsza jednak o moje odczucia, bo w końcu chcącemu nie dzieje się krzywda, wszak nikt nie kazał mi wybierać takiego zawodu. Kiedy piszę ten felieton, w PiS rozpętuje się właśnie kolejna burza. Czy będzie to ta, która doprowadzi do jakiegoś przełomu? Może tak, a może nie. Nie wiadomo. Teoretycznie wiele na to wskazuje. W praktyce – wcześniej było podobnie, a jednak w ostatnim momencie następował jakiś zwrot.

Tłem najnowszej awantury jest wydarzenie, które środowisko Mateusza Morawieckiego zaplanowało na 31 lipca. Były premier zorganizował cykl debat, a do tego zaprosił na grilla. Efekt? Liczba miejsc szybko się wyczerpała. Dziwię się tylko temu, że jego przeciwnicy się dziwią. Skoro stowarzyszenie zostało usankcjonowane przez prezesa PiS, to co w tym zaskakującego, że działa? Przecież dla równowagi powstało „drugie płuco", a więc alternatywne stowarzyszenie Jacka Sasina.

Przeciwnicy Morawieckiego wykorzystali jednak okazję i doprowadzili w ubiegłym tygodniu do jasnej uchwały prezydium PiS – „nie" dla działania członków partii w stowarzyszeniach i innych organizacjach o charakterze politycznym. Wszyscy dostali również tydzień na wystąpienie z ich szeregów. Cel? Oczywisty – uderzyć w Morawieckiego. Tyle że były premier nic sobie z tego (na ten moment) nie robi i już zapowiedział, że jego stowarzyszenie będzie działać dalej. Przed nami zatem próba sił, a może i przesilenia.

PiS ma zresztą ewidentny problem z jasnym określeniem kierunku, w którym chce zmierzać, co pokazują m.in. ostatnie wypowiedzi (i reakcje na nie) Przemysława Czarnka. W efekcie dryfuje od ściany do ściany i od pożaru do pożaru. A wyborcy? Jakby liczyli się najmniej. Tylko Donald Tusk zaciera ręce.

eprasa.pl be96d77ae9

PiS NA ZAKRĘCIE

Eskalacja niechęci między Kijowem a Warszawą **fatalnie działa na odbiór PiS** wśród prawicowych wyborców, choć ta partia już nie rządzi. Do tego dochodzi wolta Mateusza Morawieckiego. Czy prezesowi jeszcze raz uda się wyprowadzić partię z jej dziejowego zakrętu? Aktyw partyjny na wszelki wypadek szuka szalup ratunkowych.

Jakub Pacan



Fot. Marcin Banaszkiewicz / FotoNews / Forum

eprasa.pl be96d77ae9

W najnowszym sondażu United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski KO i PiS, czyli dwie największe partie, nadal tracą poparcie, choć nieznacznie, a obie Konfederacje – ta z koroną i bez niej – zyskują. Na Koalicję Obywatelską chce głosować 28,6 proc. badanych. To spadek o 1,1 pkt proc. względem poprzedniego badania. Prawo i Sprawiedliwość, z 23-procentowym poparciem, ma wynik niższy o również 1,1 pkt proc. Najwięcej w najnowszym sondażu notuje Konfederacja Wolność i Niepodległość. Na to ugrupowanie chce głosować 15,7 proc. respondentów, co oznacza wzrost o 3,5 pkt proc. Konfederacja Korony Polskiej może liczyć na 10,2 proc. poparcia, choć politolodzy twierdzą, że partia Grzegorza Brauna jest niedoszacowana.

Nowy żywioł

W polskiej polityce partyjnej pojawił się nowy czynnik, którego partie establishmentu się boją, nie wiedzą, jak do niego podejść, choć dobrze wiedzą, że będzie to największe wyzwanie polskiej polityki na najbliższe dekady i papierek lakmusowy nastrojów społecznych. Tym czynnikiem jest kwestia ukraińska. Eksperci właśnie w polityce PiS-u wobec Ukrainy widzą przyczyny przegranej tej partii w 2023 roku, a nie – jak chcieliby niektórzy – w zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej i Strajku Kobiet.

Ukraińcy w Polsce i dyplomacja Kijowa to żywioły z zewnątrz, agresywne, nieprzewidywalne, którymi nie da się do końca kierować, i nasza klasa polityczna nie ma jeszcze instrukcji obsługi, jak rozmawiać z Ukraińcami. Problemem – i to dużym – jest fakt, że ani Warszawa, ani Kijów nie są autonomiczne w swoich decyzjach i strategiach, jeśli chodzi o bilateralne stosunki. Nasze relacje są wypadkową trójkąta relacyjnego Warszawa – Kijów – Berlin, a nawet kwadratu Warszawa – Kijów – Berlin – Waszyngton. Do tego dochodzą jeszcze bardzo silne wpływy Londynu na Ukrainie, co w Polsce, nie wiedzieć czemu, nie jest wiedzą powszechną, i interesy Paryża. Po ostatnim spotkaniu sojuszu obronnego Ukraina otrzyma licencję na produkcję różnorodnego francuskiego uzbrojenia. Zełenski podpisał z Macronem wiele umów na dostawy sprzętu.

Polski na tym spotkaniu nie było, ponieważ nie życzyła sobie tego Ukraina. „Z jednej strony Ukraina nie chciała nas w Antybalistycznej Koalicji Rakietowej. Ale z drugiej strony zabrakło nam determinacji, żeby starać się o członkostwo" – tak przedstawiciele rządu tłumaczyli, dlaczego Polska nie znalazła się wśród dziewięciu europejskich krajów NATO, które wraz z Ukrainą mają stworzyć system obrony przed atakami rakietowymi ze strony Rosji.

Nic to, politycy PiS, KO, Lewicy i PSL wciąż powtarzają, że mimo tarć, mimo de facto wojny dyplomatycznej z Kijowem nie zrezygnują ze wspierania Ukrainy. Innymi słowy – nasza klasa polityczna uważa, że Polska skazana jest na pomoc Ukrainie.

Władze Ukrainy o tym wiedzą, dlatego pozwalają sobie na eskalację z Polską. I jest to dar losu dla obu Konfederacji. PiS nie jest partią, która może podbijać bębenek radykalizmu w nieskończoność. Jarosław Kaczyński mimo oskarżeń o populizm zawsze dbał, by jego partia mieściła się w europejskiej średniej. Zresztą ostatnio ostro zdyscyplinował Przemysława Czarnka za słowa: „Trzeba zmusić Unię Europejską do tego, żeby zaprzestać na ten moment finansowania w jakikolwiek sposób zbrojeń na Ukrainie i odbudowy Ukrainy. Pomoc powinna być wstrzymana do czasu, aż Ukraina wejdzie na ścieżkę wartości proludzkich". Kaczyński wyjaśnił na portalu X: „Prawo i Sprawiedliwość stoi i zawsze stało na stanowisku, iż pomoc militarna, realizowana także przez UE na rzecz Ukrainy, jest bezwzględnie potrzebna. To kluczowa sprawa z punktu widzenia polskiej racji stanu i naszego bezpieczeństwa. Sprawa wypowiedzi Pana Czarnka zostanie wyjaśniona przez kierownictwo partii".

Poparcie dla Konfederacji

Skutkiem wzajemnej eskalacji niechęci między ukraińską i polską klasą polityczną jest sytuacja, której przez lata bał się Jarosław Kaczyński, czyli gwałtowny wzrost poparcia bardziej radykalnej prawicy narodowej, która zaczyna ustanawiać standardy w coraz większej ilości tematów politycznych. Standardy postępowania wobec Ukrainy nie należą do PiS, lecz obu Konfederacji. Doszło do tego, że to PiS jest tutaj podróbką, to Przemysław

STANDARDY POSTĘPOWANIA WOBEC UKRAINY NIE NALEŻĄ DO PiS, LECZ OBU KONFEDERACJI. DOSZŁO DO TEGO, ŻE TO PiS JEST TUTAJ PODRÓBKĄ, TO PRZEMYSŁAW CZARNEK NAŚLADUJE KRZYSZTOFA BOSAKA CZY GRZEGORZA BRAUNA.

eprasa.pl be96d77ae9

Czarnek naśladuje Krzysztofa Bosaka czy Grzegorza Brauna. PiS świeci teraz światłem odbitym i weszło w naśladownictwo względem pogardzanych wcześniej przez siebie Konfederacji. To niewygodna pozycja w polityce i niewdzięczna rola. Dla partii, która jeszcze niedawno rządziła niepodzielnie nie tylko na prawicy, ale i w Polsce, to prestiżowy cios i dezorientacja wśród wyborców.

To niebezpieczny moment rozszczelnienia dla centroprawicy – przekonała się o tym chadecja we Włoszech. We Francji sukcesy Frontu Narodowego zapaliły wszystkie lampki alarmowe od prawa do lewa. Podobnie jest w Holandii. Przekonuje się o tym w końcu CDU, której po piętach depcze AfD i w lokalnych wyborach stanowi poważne wyzwanie.

Prezes zadecydował wewnątrz partii, że idzie na wojnę z Grzegorzem Braunem. To rodzi bardzo konkretne skutki dla targetowania potencjalnych wyborców. To dalsze odcinanie się od elektoratu bliżej centrum i opieranie się na twardym, tożsamościowym wyborcy własnym. Tak też należy odczytywać zaproponowanie Adama Borowskiego jako kandydata na rzecznika praw obywatelskich. Ta kandydatura to dopieszczenie twardego elektoratu. Z jednej strony dzięki tej strategii udało się zachować stan osobowy partii po przegranych wyborach, PiS się nie rozpadło, jednak szklanka jest do połowy pusta. Nie ma nowych segmentów wyborców. Morawiecki, mówiąc o łagodzeniu przekazu partii, dokonuje tak naprawdę wolty, której Kaczyński boi się nie mniej niż sukcesów Brauna.

W POLSKIEJ POLITYCE PARTYJNEJ POJAWIŁ SIĘ NOWY CZYNNIK, KTÓREGO PARTIE ESTABLISHMENTU SIĘ BOJĄ, NIE WIEDZĄ, JAK DO NIEGO PODEJŚĆ, CHOĆ DOBRZE WIEDZĄ, ŻE BĘDZIE TO NAJWIĘKSZE WYZWANIE POLSKIEJ POLITYKI NA NAJBLIŻSZE DEKADY I PAPIEREK LAKMUSOWY NASTROJÓW SPOŁECZNYCH.

W ubiegłą środę władze PiS przyjęły uchwałę, w której zobowiązują członków partii do „bezwzględnego powstrzymywania się od przynależności do jakichkolwiek stowarzyszeń, fundacji, organizacji pozarządowych lub innych podmiotów prawa, których statutowym lub faktycznym celem jest prowadzenie działalności o charakterze politycznym". To uchwała skierowana głównie w Mateusza Morawieckiego. Ludzie skupieni w Stowarzyszeniu Rozwój Plus, które zostało założone przez byłego premiera, zapowiedzieli, że nie zrezygnują z członkostwa w tej organizacji. W komentariacie już mówi się, że to „koniec PiS".

Ta teza, choć na wyrost, wzbudza obawy prezesa, ponieważ prawnicy partii pokazali analizy, z których wynika, że jeśli członkowie PiS będą działać w podmiotach poza partią i je finansować, wtedy partia może stracić subwencję.

Grzegorz Braun zaczął nawet żartować pytany o rozmowy z PiS-em, o który PiS chodzi, bo do przyszłej jesieni, do wyborów parlamentarnych, z jednego PiS-u może powstać już kilka partii.

Paradoksalnie radykalizacja nastrojów po prawej stronie sceny politycznej to dobra informacja dla Koalicji Obywatelskiej. „A więc trzy Konfederacje przeciwko nam. Nie ma czego się bać, ale nie można ich lekceważyć. Jedno jest pewne: w 2027 r. Polskę czeka gra o wszystko" – napisał szef rządu o kandydaturze Przemysława Czarnka. I pewnie w tę stronę będzie szedł przekaz kampanii wyborczej strony liberalno-lewicowej – straszenia prawicowym populizmem, nacjonalizmem i wyprowadzaniem Polski z Unii Europejskiej.

PiS NIE JEST PARTIĄ, KTÓRA MOŻE PODBIJAĆ BĘBENEK RADYKALIZMU W NIESKOŃCZONOŚĆ. JAROSŁAW KACZYŃSKI MIMO OSKARŻEŃ O POPULIZM ZAWSZE DBAŁ, BY JEGO PARTIA MIEŚCIŁA SIĘ W EUROPEJSKIEJ ŚREDNIEJ.

eprasa.pl be96d77ae9

Jak średniowieczne Jung Stadt stało się Młodym Miastem i kolebką Solidarności

Większość turystów spacerujących po gdańskim Głównym Mieście zachwyca się urokliwymi kamienicami i Dworem Artusa. **Mało kto jednak wie**, że tuż obok, na terenach dzisiejszej stoczni, w XIV wieku istniało prężnie rozwijające się konkurencyjne miasto.



Fot. Wikimedia Commons

Konrad Wernicki

Jung Stadt (Młode Miasto) zostało założone przez Krzyżaków jako alternatywa dla rządzonego przez polskie i niemieckie elity Gdańska. Posiadało własne ratusz, kościoły, rynek i port.

Średniowieczne korzenie

Gdy w XV wieku gdańszczanie zbuntowali się przeciwko zakonowi krzyżackiemu, jednym z pierwszych kroków było całkowite zrównanie Młodego Miasta z ziemią, aby uniemożliwić Krzyżakom obronę. Choć materialne ślady po Jung Stadt zniknęły pod ziemią, to właśnie w tym miejscu kilkaset lat później wyrosło przemysłowe imperium – Stocznia Gdańska, która zmieniła bieg dziejów Europy.

Industrialna potęga

Przechodząc z przewodnikiem trasą naszej wycieczki, turyści natychmiast wyczuwają monumentalny klimat postindustrialnego dziedzictwa. Tereny te są jednym z najważniejszych materialnych symboli przypominających o ponad 170-letniej tradycji przemysłu stoczniowego w Gdańsku. To tutaj XIX-wieczna Stocznia Cesarska oraz dawna Stocznia Schichaua budowały majestatyczne okręty i statki, tworząc potęgę gospodarczą regionu.

Krajobraz zdominowany przez charakterystyczne stalowe żurawie, zwane przez mieszkańców „stoczniowymi dinozaurami", tworzy unikalne tło fotograficzne i kulturowe, którego nie da się porównać z żadnym innym miejscem w Polsce. Spacerując Szlakiem Stoczni Cesarskiej i promenadą „Drogi do Wolności", turyści mogą na własne oczy zobaczyć, jak dawna przestrzeń przemysłowa płynnie przekształca się dziś w tętniącą życiem, nowoczesną dzielnicę – współczesne Młode Miasto.

Serce historii: Sala BHP Stoczni Gdańskiej

Kulminacyjnym punktem zwiedzania tych terenów jest wejście do wnętrza historycznego Muzeum Sali BHP. To tutaj w sierpniu 1980 roku ważyły się losy wolnego świata. Fundacja Promocji Solidarności z dumą dba o ten narodowy zabytek i o to, aby ocalić od zapomnienia unikalne dziedzictwo przemysłowe i społeczne stoczni.

Dzisiejsze Muzeum wprost nawiązuje do tradycji dawnej Izby Pamięci, która działała przy Stoczni im. Lenina od połowy lat 70. do upadłości zakładu w 1996 roku. Dzięki zaangażowaniu NSZZ „Solidarność" (właściciela obiektu od 2004 roku) oraz generalnej rewitalizacji to miejsce zachowało swój unikalny, autentyczny charakter.

Poczuć historię

Wycieczka „Od «Jung Stadt» do Młodego Miasta – historia terenów stoczniowych" to idealny sposób na spędzenie wartościowego czasu w Gdańsku. Łączy w sobie pasjonującą opowieść o dawnej urbanistyce, technice okrętowej oraz narodzinach wolności, która zmieniła Europę.

Ze względu na duże zainteresowanie miejsca warto zarezerwować z wyprzedzeniem na stronie: www.salabhp.pl/rezerwacje.

Zeskanuj QR kod i sprawdź dostępne terminy:

eprasa.pl be96d77ae9

Kalkulacje i iluzje nowej Trzeciej Drogi

Marek Nowak



Fot. Jakub Porzycki / Forum

Czy w kolejnych wyborach elektorat rozczarowany Donaldem Tuskiem, ale mniej lub bardziej obawiający się rządów prawicy uwierzy po raz kolejny w „nowe otwarcie" oferowane przez ten sam duet? Czy Szymon Hołownia po kilku latach w roli marszałka Sejmu i współodpowiedzialności za rządy obecnej koalicji będzie w stanie skutecznie przedstawić się jako „świeża twarz" i antysystemowy reformator? A Władysław Kosiniak-Kamysz, dziś wicepremier milczący wobec brutalizacji polityki napędzanej przez obecny rząd, zdoła przekonać wyborców, że jako polityk jest „bezpiecznym wyborem"? Obaj liderzy zdają się wierzyć, że wspólnie im się uda. Pytanie tylko, czy ta wiara wystarczy, by zrekompensować zimną kalkulację i brak autentycznych emocji, na których nowa Trzecia Droga jest budowana?

eprasa.pl be96d77ae9

W ostatnich tygodniach w mediach coraz częściej pojawiają się informacje o zakulisowych rozmowach Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni, którzy stoją przed kluczowym dylematem dotyczącym swojej politycznej przyszłości. Obaj politycy, analizując topniejące słupki poparcia przez pryzmat bezwzględnej matematyki wyborczej, doszli do pragmatycznego wniosku, że idąc do wyborów samodzielnie, nie mają szans na znalezienie się w przyszłym parlamencie. Jednak idąc razem, połączeni wspólnym interesem politycznym, zyskują szansę, by powtórzyć scenariusz z 2023 roku i w przyszłym parlamencie zyskać status języczka u wagi. Według medialnych doniesień nowy polityczny twór, będący swoistą reaktywacją Trzeciej Drogi, ma być uszyty na miarę konkretnej, dynamicznie rosnącej grupy obywateli – byłych wyborców obecnej koalicji głęboko rozczarowanych jakością aktualnej władzy, a jednocześnie obawiających się zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości oraz perspektywy gwałtownego zwrotu w prawo, symbolizowanego przez rosnącą w siłę Konfederację Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena, czy skrajnego ugrupowania radykalnego demagoga Grzegorza Brauna. Nadchodzący projekt Kosiniaka-Kamysza i Hołowni ma stać się bezpieczną przystanią dla takich wyborców, co według politycznych kalkulacji obu liderów powinno wystarczyć na przekroczenie pięcioprocentowego progu poparcia. Pytanie, czy te kalkulacje są słuszne? Nad tą kwestią zastanawiali się niedawno Robert Mazurek w swoim komentarzu na Kanale Zero oraz Andrzej Gajcy na naszych łamach. Obaj doświadczeni analitycy polityczni doszli jednak do odmiennych wniosków. Mazurek wyraża daleko posunięty sceptycyzm w kwestii potencjalnych wyborczych szans reaktywowanej Trzeciej Drogi, podczas gdy Gajcy dochodzi do wniosku, że „to się może udać". Oczywiście polska polityka bywa nieprzewidywalna, a jej rozstrzygnięcia potrafią zaskoczyć, niemniej w tej konkretnej kwestii bliżej mi do sceptycyzmu komunikowanego przez Roberta Mazurka. W dalszej części tekstu postaram się wyjaśnić, dlaczego.

ABY PRZETRWAĆ KOLEJNE KADENCJE, LUDOWCY MUSIELI ZACZĄĆ SZUKAĆ PARTNERÓW, NA KTÓRYCH PLECACH MOGLI WCHODZIĆ DO KOLEJNYCH PARLAMENTÓW.

POMYSŁ REAKTYWACJI TRZECIEJ DROGI WYDAJE SIĘ OBJAWEM DESPERACJI. Z POZYTYWNYCH EMOCJI, JAKIE STAŁY ZA TYM POLITYCZNYM PROJEKTEM, NIC JUŻ NIE ZOSTAŁO.

W kierunku nieistotności

Zanim jednak przejdziemy do analizy wyborczych szans połączonych sił PSL i Polski 2050, warto postawić pytanie, dlaczego ludowcom efemeryczne ugrupowanie Hołowni w ogóle jest potrzebne? Innymi słowy, dlaczego najstarsza partia w Polsce od kilku już wyborów musi urządzać polityczne przebieranki, by przeskoczyć nad progiem wyborczym? W 2019 roku mieliśmy wyborcze porozumienie z Pawłem Kukizem, do którego doproszono przedstawicieli mniejszych ugrupowań o marginalnym poparciu, takich jak Unia Europejskich Demokratów. W ten sposób powstała Koalicja Polska. Cztery lata później wspólny start z formacją Szymona Hołowni – w ramach koalicji Trzeciej Drogi. Liderzy PSL-u wyraźnie od dłuższego czasu nie wierzą, że zdołaliby pod własnym szyldem przekroczyć próg wyborczy. Skąd ten pesymizm? Prawdopodobnie zdają sobie sprawę, jak bardzo na przestrzeni ostatnich lat zawodzili swoich wyborców. Dawniej PSL pełniło potrzebną systemową funkcję stabilizatora instytucji. Dzięki swojej, unikalnej na polskiej scenie politycznej tożsamości, pozbawionej politycznej ideologii i posiadającej jedynie minimalny rys utopijny – mógł odgrywać taką rolę bez podbijania stawek. Tak funkcjonujące PSL odegrało istotną, pozytywną rolę w czasie poprzednich rządów Donalda Tuska, blokując bardzo szkodliwą społecznie reformę sądownictwa autorstwa

eprasa.pl be96d77ae9

Jarosława Gowina, która zakładała zniesienie 79 małych sądów rejonowych i przekształcenie ich w wydziały zamiejscowe większych jednostek w celu optymalizacji kosztów. Zmiana funkcjonowania PSL na scenie politycznej następowała stopniowo, lecz gwałtownie przyspieszyła wraz z przejęciem w ugrupowaniu władzy przez Władysława Kosiniaka-Kamysza w 2015 roku. Wcześniej lider PSL-u pełnił funkcję ministra pracy i polityki społecznej w drugim rządzie Donalda Tuska oraz w rządzie Ewy Kopacz. Firmował swoim nazwiskiem najbardziej antyspołeczne projekty tamtej ekipy – z niesławną „ustawą 67" mechanicznie wydłużającą wiek emerytalny mężczyznom o 2, a kobietom aż o 7 lat. Wiele środowisk nazywało go wówczas „ministrem do spraw symulowania dialogu społecznego". W rezultacie coraz więcej naturalnego elektoratu PSL zaczęło odwracać się od tej formacji. Wraz z rządami PiS-u i zupełnie innym stosunkiem tej partii do polityki społecznej, a także zarówno symbolicznym, jak i strukturalnym dowartościowaniem polskiej wsi, ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego zaczęło stopniowo „odbijać wieś z rąk PSL-u". Kosiniak-Kamysz jako lider ludowców nie miał ani pomysłu, ani być może nawet chęci, by o elektorat wiejski spróbować z PiS-em jakoś zawalczyć. Zamiast tego postawił na próbę pozyskania nowych wyborców poprzez liberalny populizm. Dziwaczna, niepasująca do PSL-u, iście leseferystyczna w swoim duchu, propozycja dobrowolnego ZUS-u dla przedsiębiorców jest dobrym przykładem nowego politycznego kursu. W rezultacie doprowadził on zarówno lidera ludowców, jak i całe ugrupowanie na manowce. Jako przedstawiciel libertariańskich nurtów w polskiej polityce dużo bardziej wiarygodny jest zarówno Janusz Korwin-Mikke, jak i Sławomir Mentzen. W efekcie PSL straciło duszę, ale nie zyskało nowych wyborców. Zostało z solidną strukturą terenową i pustym ideowo szyldem. Aby przetrwać kolejne kadencje, ludowcy musieli zacząć szukać partnerów, na których plecach mogli wchodzić do kolejnych parlamentów.

POPRZEDNI LIDERZY PSL-u POTRAFILI STAWIAĆ SIĘ SWOIM WIĘKSZYM KOALICJANTOM, Z PO CZY WCZEŚNIEJ Z SLD, W SPRAWACH, KTÓRE UZNAWALI ZA WAŻNE DLA SWOICH WYBORCÓW.

LIDER PSL-u PRÓBUJE PRZEDSTAWIĆ SIEBIE JAKO POLITYCZNEGO PRAGMATYKA PRAGNĄCEGO POGODZIĆ ZWAŚNIONE STRONY, ALE CZY SPOŁECZEŃSTWO NIE ODBIERA GO GŁÓWNIE JAKO POSTACI SŁABEJ I SPOLEGLIWEJ?

Pożyczone emocje

Na swoich wyborczych partnerów ludowcy wybierali ugrupowania wyrażające obietnice zreformowania politycznego systemu. Na pierwszy rzut oka wydaje się to bardzo dziwne. Formacja będąca do tej pory w każdym Sejmie po 1989 roku, najdłużej ze wszystkich aktualnie obecnych w Sejmie uczestnicząca w sprawowaniu władzy, sprzymierza się z politykami ustawiającymi się mniej lub bardziej, ale jednak w kontrze do aktualnego modelu uprawiania polityki? Kwintesencja systemu startuje razem z mniej lub bardziej twardym antysystemem? Brzmi absurdalnie, ale na poziomie chłodnej politycznej rachuby wszystko się zgadza. Reformatorskie ugrupowania protestu, jakim były w różnym stopniu zarówno Kukiz'15, jak i Polska 2050, wyrastają z realnej społecznej potrzeby, jednak ze względu na ich specyficzny charakter, częściej skupiony na emocji i charyzmie lidera niż na konkretnym programie, są strukturalnie bardzo słabe. PSL z kolei przestało wyrażać jakiekolwiek społeczne emocje, ale pod względem struktur jest formacją ciągle, jak na polskie warunki, imponującą. Można więc powiedzieć,

eprasa.pl be96d77ae9

że w pewnym stopniu w tym sojuszu partnerzy uzupełniali swoje największe słabości. PSL pożyczało „idee i polityczne emocje" od koalicjanta, podczas gdy on pożyczał „struktury i zdolności organizacyjne" od PSL-u. Jakie więc „pożyczone emocje" zapewniły przetrwanie ludowcom? Zaznaczę na początku, że podzielam tezę autorstwa socjologa, dr. Adama Ostolskiego z UW, że w sytuacji ugrupowań wyrosłych z chęci mniej lub dalej idącej korekty systemu zawsze mamy do czynienia z odnoszeniem się przez nie do zasobów legitymacyjnych całego systemu politycznego. Paweł Kukiz wprost odnosił się do niezrealizowanej przez III RP obietnicy merytokratyczności nowego systemu. W ten sposób odwoływał się do realnych emocji wielu ludzi, którzy w tę obietnicę uwierzyli. Pokończyli dobre szkoły, wierząc, że nowy system premiuje wiedzę i kompetencje, a nie znajomości czy też partyjną przynależność, i w wielu miejscach natknęli się na szklany sufit. Kukiz dawał bardzo czytelną diagnozę: ten system jest zły i dopóki nie przeprowadzimy strukturalnych reform ordynacji wyborczej, wymiaru sprawiedliwości czy też wzmocnienia demokracji bezpośredniej, wszystko pozostanie po staremu. Był w tym pewien polityczny magnetyzm, nawet jeśli w uzdrowicielską moc proponowanych rozwiązań typu wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych można było wątpić. Paradoksalnie Szymon Hołownia odwoływał się do tych samych emocji, proponując jeszcze prostsze niż Kukiz rozwiązania. W snutej przez ówczesnego lidera Polski 2050 opowieści problemem nie był sam system, ale zarządzający nim ludzie. Politycy skupieni na wzajemnych konfliktach, niepotrafiący załatwiać spraw zwykłych ludzi. Wystarczy pogonić tych „polityków" i zastąpić ich „ekspertami", a system ulegnie uzdrowieniu. Obietnica merytokratyczności zostanie spełniona. Oczywiście Polska 2050 nie była klasyczną partią protestu, jak Kukiz'15, lecz źródło dawnej politycznej siły tej formacji i samego Hołowni tkwiło w zagospodarowaniu emocji stricte antysystemowej. Stąd w 2023 roku mieliśmy duże przepływy między Konfederacją i Trzecią Drogą. Pytanie, czy da się dzisiaj tę emocję powtórzyć?

TRZECIA DROGA 2.0 BARDZIEJ JAWI SIĘ JAKO POLITYCZNY RELIKT NIŻ POWAŻNA SIŁA ZDOLNA DECYDOWAĆ O KSZTAŁCIE KOLEJNEJ KADENCJI.

Czy to ma sens?

Sam pomysł politycznej reaktywacji Trzeciej Drogi wydaje się objawem desperacji. Z pozytywnych emocji, jakie stały za tym politycznym projektem w 2023 roku, nic już dziś nie zostało. Dziś wydaje się on propozycją, na którą bardzo trudno będzie znaleźć chętnych. Koalicją zbyt skompromitowaną udziałem we władzy, by być w stanie autentycznie mobilizować protest i emocje antysystemowe, a jednocześnie zbyt słabą politycznie i programowo, by przyciągnąć tych, którzy chcą stabilizacji. Lider PSL-u próbuje przedstawić siebie jako politycznego pragmatyka pragnącego pogodzić zwaśnione strony, ale czy społeczeństwo nie odbiera go głównie jako postaci słabej i spolegliwej? Poprzedni liderzy PSL-u potrafili stawiać się swoim większym koalicjantom, z PO czy wcześniej z SLD, w sprawach, które uznawali za ważne dla swoich wyborców. Obecny lider tego nie potrafi, a co gorsza, naprawdę bardzo trudno ustalić, jakie postulaty obecne PSL uznaje za ważne dla swoich wyborców. Nie bardzo również wiadomo, w jaki sposób reaktywacja Trzeciej Drogi miałaby stanowić odpowiedź na głęboki kryzys tożsamości ludowców. Z kolei Szymon Hołownia coraz bardziej przypomina mi Ryszarda Petru – polityka, z którym kiedyś duża część społeczeństwa wiązała pewne nadzieje, lecz dawny lider Nowoczesnej je zawiódł. Dziś próbuje po raz kolejny wrócić do politycznej pierwszej ligi, nie rozumiejąc, gdzie się podziało dawne poparcie. Hołownia zdaje się podążać tą samą drogą. Jaka więc przyszłość czeka reaktywowany sojusz Kosiniaka i Hołowni? W mojej ocenie sceptycyzm Roberta Mazurka w tej sprawie wydaje się mocno uzasadniony. Trzecia Droga 2.0 bardziej jawi się jako polityczny relikt niż poważna siła zdolna decydować o kształcie kolejnej kadencji. Oczywiście do wyborów pozostał jeszcze rok, więc jest wciąż czas, by obaj liderzy zadali sobie fundamentalne pytania. W przypadku Hołowni jest to pytanie o przyczynę utraty poparcia, a w przypadku lidera PSL-u o to, jak długo można budować koalicje w oparciu o pożyczone emocje? Od jakości odpowiedzi na te pytania zależy polityczna przyszłość obu formacji.

eprasa.pl be96d77ae9

Polscy przedsiębiorcy i pracownicy tracą z powodu polityki UE



„Pomysły Zielonego Ładu to cały system opłat, zakazów i dotacji, które nie budują dobra wspólnego. To wszystko służy najbogatszym i wzmaga pauperyzację społeczeństwa”.

Fot. arch.

– Dzisiaj zarówno polscy przedsiębiorcy, jak i polscy pracownicy tracą z powodu polityki Unii Europejskiej czy braku aktywnych działań polskiego rządu. Zmiany w wyniku regulacji Zielonego Ładu uderzyły w cały polski przemysł – mówi **Ewa Zajączkowska-Hernik** w rozmowie z **Konradem Wernickim**.

eprasa.pl be96d77ae9

– Wystartowała Pani z Ruchem Biało-Czerwoni. Czym ta organizacja będzie się różnić od innych inicjatyw na prawicy? Jest ich coraz więcej.

– Stowarzyszenie Ruch Biało-Czerwoni jest szczególnie atrakcyjną propozycją dla ludzi, którzy chcą po raz pierwszy zaangażować się w życie publiczne – zarówno swojej lokalnej społeczności, jak i regionu czy Ojczyzny. Moja inicjatywa to zaproszenie do wstąpienia do organizacji pozarządowej, która cechuje się luźniejszą formułą niż partia polityczna. Wszystkie osoby krytyczne wobec rządzących znajdą u nas bardzo dobrą przestrzeń do działania. Nasi członkowie nie będą zajmowali się tylko politycznym komentowaniem rzeczywistości w kraju. Będą mieli możliwość tworzenia drużyny, która będzie mogła wspólnie organizować akcje charytatywne, kontrolować lokalny samorząd, podejmować inicjatywy ogólnokrajowe oraz dostawać ciekawe informacje o wydarzeniach na poziomie europejskim. Większość „nowych" partii czy inicjatyw składa się ciągle z tych samych nazwisk. Sama jestem aktywnym politykiem od 2 lat, dlatego wiem, jak trudno jest się przebić do życia publicznego i ile wymaga to determinacji.

– W swojej zapowiedzi wspomina Pani o solidarności i budowaniu dobra wspólnego – to wartości, które raczej nie łączą się z liberalizmem, z którym z kolei Pani jest kojarzona ze względu na życiową drogę polityczną. W budowaniu dobra wspólnego podatki pomagają czy przeszkadzają?

– W obecnym systemie podatki i coraz to nowsze „parapodatki" przeszkadzają. Proszę popatrzeć na pomysły Zielonego Ładu – to cały system opłat, zakazów i dotacji, które nie budują dobra wspólnego. To wszystko służy najbogatszym i wzmaga pauperyzację społeczeństwa. Polacy mieszkający na wsi mają coraz mniejsze możliwości ogrzania swojego domu. Polacy, którzy pragną zakładać większe rodziny, mają bardziej ograniczone możliwości zakupu dużego auta i dowożenia nim dzieci do szkoły w mieście. Polacy z klasy średniej coraz więcej wydają na utrzymanie jedynego mieszkania, przy czym mniej środków zostaje im na życiowe plany czy możliwość kształcenia potomków. Tymczasem dla osób zamożnych istnieją dotacje do aut elektrycznych czy coraz to nowsze przywileje związane z wjazdem do miast czy miejscami parkingowymi. Dzisiejsza grzecznuitko przyklepywana polityka Unii Europejskiej przez polski rząd to filozofia: „Wspólne koszty, zyski dla wybranych".

– Dostrzega Pani w Polsce konflikt interesu, który można nazwać konfliktem klasowym pomiędzy pracownikami a przedsiębiorcami? Tych drugich często pogardliwie nazywa się „Januszami biznesu". Przedsiębiorcom zarzuca się, że kombinują i oszukują na podatkach, by wykorzystać luki w systemie, podczas gdy pracownik nie ma pola manewru i skrupulatnie odprowadza wszystkie podatki i składki. Ten system należałoby uszczelnić dla przedsiębiorców czy może bardziej poluzować pracownikom?

– Ten konflikt pomiędzy pracownikami a przedsiębiorcami w Polsce to obiekt celowej manipulacji dokonywanej przez część polityków i osób kształtujących opinię publiczną. Bazuje na pewnych kalkach historycznych i pojedynczych przypadkach oszustów, którzy zawsze się trafią zarówno wśród przedsiębiorców, jak i pracowników. Dzisiaj nie tylko polscy przedsiębiorcy, lecz także polscy pracownicy tracą z powodu polityki Unii Europejskiej czy braku aktywnych działań polskiego rządu. Zmiany w wyniku regulacji Zielonego Ładu uderzyły w cały polski przemysł.

Liberalizm gospodarczy zakłada równe warunki do wyścigu i konkurencji. A proszę spojrzeć choćby na umowę Mercosur, którą serwuje nam Komisja Europejska. Polscy rolnicy i polscy przedsiębiorcy muszą spełniać coraz trudniejsze wymogi, coraz więcej wymagać od siebie i swoich pracowników. Coraz trudniejsze do realizacji regulacje unijne często prowadzą do mniejszej przestrzeni na budżet płac

STOWARZYSZENIE RUCH BIAŁO-CZERWONI JEST SZCZEGÓLNIE ATRAKCYJNĄ PROPOZYCJĄ DLA LUDZI, KTÓRZY CHCĄ PO RAZ PIERWSZY ZAANGAŻOWAĆ SIĘ W ŻYCIE PUBLICZNE – ZARÓWNO SWOJEJ LOKALNEJ SPOŁECZNOŚCI, JAK I REGIONU CZY OJCZYZNY.

eprasa.pl be96d77ae9

dla pracowników. Okazuje się, że Komisja Europejska stawia na ułatwianie importu z Ameryki Południowej, gdzie nikt nie wierzy w standardy produkcji żywności i praw pracowniczych. A na pewno nikt nie wierzy w realną europejską kontrolę gigafarm w Brazylii.

– Słowo „solidarność" w ostatnich latach często pojawiało się w naszej polityce. Była mowa o europejskiej solidarności w czasie pandemii COVID-19, o solidarności z Ukrainą. A jaką solidarność Pani ma na myśli w swoim programie?

– Idea unijnej solidarności zaowocowała pretekstem do kolejnego zadłużania Polski i wyciągania korzyści dla wybranych. Europejskie zakupy szczepionek skończyły się do dzisiaj niewyjaśnioną finansową aferą. Ta covidowa solidarność stała się pretekstem dla eurodługu zaciągniętego na realizację KPO, który skończył się dotacjami na jachty i inne dziwne pomysły, które nie wiem, jak mają służyć osobom potrzebującym pomocy. Polacy okazali solidarność uchodźcom z Ukrainy w 2022 roku. Wielu naszych rodaków przyjęło potrzebujących, którzy uciekali z powodu krwawej wojny. Ale co zrobili z tym politycy? Wykorzystali to hasło jako pretekst do kolejnych długów i bezwarunkowych darowizn dla Ukrainy. A potem okazało się, że w drugą stronę nic nie działa. Nie możemy realnie ekshumować zamordowanych Polaków na Wołyniu, a Wołodymyr Zełenski gloryfikuje morderców Polaków, nadając jednej z jednostek wojskowych nazwę Bohaterów UPA. Okazuje się, że wpisuje się polskich polityków na listę wrogów Ukrainy, co stanowi wręcz akt terroru wobec naszego państwa. Słowo „solidarność" w debacie publicznej, używane w wielkich tematach, często służy jako parawan do złych działań w polityce. Kiedy stosuję to słowo w kontekście naszego stowarzyszenia Ruch Biało-Czerwoni, nie używam go jako zasłony do wielkich interesów w polityce. Mówię o solidarności nie w debacie publicznej, ale tej blisko człowieka. Zachęcam ludzi do zaangażowania w społeczności lokalne i do zmiany na lepsze ich najbliższego otoczenia. Mam szczęście, że spotkałam wielu ludzi, którzy angażują się w działania charytatywne oraz na rzecz ich „małych" ojczyzn. Teraz staram się pomóc tym wspaniałym ludziom, żeby uzyskali efekt synergii między swoimi działaniami.

– Czy dobro wspólne można budować razem z migrantami, np. z Ukrainy, w Polsce?

– Tak, ale do tanga trzeba dwojga. Jeśli ktoś ma złe, agresywne zamiary, to niezależnie od najlepszych odruchów serca nie zbudujemy z nim dobra wspólnego. A sprawdzenie zamiarów powinno dokonywać się przez gospodarza – ułatwi to wprowadzanie jasnych zasad pobytu w naszym kraju. Skutkować to powinno przede wszystkim wypraszaniem tych, którzy nie są zainteresowani dobrem wspólnym kraju, w którym przebywają. Takie rozwiązanie pomoże też tym migrantom, którzy są zainteresowani pracą i poszanowaniem norm kulturowych naszego społeczeństwa.

– Zbiera Pani podpisy pod petycją ws. wycofania ETS2 i dyrektywy EPBD. Jaki będzie następny krok, gdy zostaną one zebrane?

– Aktywność podpisujących te petycje to przede wszystkim głos pokazujący rządzącym – zarówno w Unii Europejskiej, jak i w Polsce, że tych tematów nie można przemilczeć i dalej wprowadzać te rozwiązania bez mrugnięcia okiem. Im większa będzie skala tych podpisów, tym trudniej będzie władzy utrzymać zły kurs. Na pewno będą to istotne argumenty w kampanii wyborczej, która odbędzie się w przyszłym roku w Polsce. Od strony formalnej – złożymy petycje w różnej formule prawnej zarówno w Polsce, jak i w Parlamencie Europejskim.

POLSCY ROLNICY I POLSCY PRZEDSIĘBIORCY MUSZĄ SPEŁNIAĆ CORAZ TRUDNIEJSZE WYMOGI, CORAZ WIĘCEJ WYMAGAĆ OD SIEBIE I SWOICH PRACOWNIKÓW. CORAZ TRUDNIEJSZE DO REALIZACJI REGULACJE UNIJNE CZĘSTO PROWADZĄ DO MNIEJSZEJ PRZESTRZENI NA BUDŻET PŁAC DLA PRACOWNIKÓW.

Ewa Zajączkowska-Hernik jest eurodeputowaną do Parlamentu Europejskiego z ramienia Konfederacji, w którym działa w grupie Patrioci dla Europy. Niedawno założyła stowarzyszenie Ruch Biało-Czerwoni.

eprasa.pl be96d77ae9



Piotr Skwieciński

Wycieraczki nasze codzienne

Galopujący Major, jeden z popularniejszych (i, dodajmy, otaczanych przez poniektórych szacunkiem jako intelektualista) lewicowych blogerów, sformułował na łamach „Krytyki Politycznej" interesującą propozycję. Stworzył ją, zastanawiając się, jak rząd Donalda Tuska powinien „walczyć z antyukraińską falą". A powinien z nią walczyć głównie dlatego, że „temat Ukrainy stanie się kluczową osią podziału w przyszłorocznej kampanii wyborczej", więc trzeba go rozbroić. Jak to zrobić?

Galopujący proponuje, by instrumentalnie użyć do tego celu narracji antyrosyjskiej i antykomunistycznej – „trzeba znowu przypomnieć Katyń, dziś już zupełnie zapomniany. Trzeba jak najbardziej obrazowo przypominać o strzelaniu w potylicę. Zamiast «Wołynia» Smarzowskiego pokazywać jego «Różę». A zamiast «Zielonej granicy» Agnieszki Holland – «Zabić księdza». Użyć antybolszewizmu jak najbardziej cynicznie, bo właśnie jak najbardziej cynicznie rzezi wołyńskiej używa prawica".

Pomysł jak pomysł, nie o takich słyszałem. I pewnie bym o nim nie pisał, gdyby nie apogeum koncepcji Galopującego, które brzmi tak:

„Ba, dla efektu symbolicznego trzeba po prostu zacząć burzyć pomniki Armii Czerwonej w Polsce. Tak, wiem, zaraz się zacznie larum, że jak tak można, miejsca pamięci, kultu, tak się nie godzi. I właśnie o to chodzi, żeby się podniosło larum. Żeby była dyskusja o miejscach kultu. Żeby Rosja się wściekła, a nowy idol prawicy, Leszek «moskiewska pożyczka» Miller, zaczął się sprzeciwiać. Żeby te wszystkie siły, tak rzekomo obiektywne w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, zaczęły gęgać w obronie pomników wyzwolicieli ze wschodu".

Nie, nie o to wymarzone przez Galopującego gęganie idzie. Tylko o to, że czołowe pióro organu p. Sławomira Sierakowskiego wzywa, by ZACZĄĆ burzyć radzieckie pomniki – czyli najwyraźniej nie wie, że są one burzone od lat, i że już bardzo niewiele z nich pozostało. Nie wie, że burzą je jak najbardziej władze, lokalne, na podstawie ustawy o IPN, którą wykonuje tenże IPN. I nawet gdyby dziś rząd przyjął jego koncepcję, to już doprawdy mało miałby do roboty.

Tu można by się zaśmiać i skończyć temat elukubracji Pana Majora, ale mają one poważniejszy aspekt. Chodzi o to, że ignorancja Galopującego jest przejawem zjawiska znacznie szerszego.

Już dawno temu pisałem o tym, że w Polsce zjawisko baniek polityczno-ideowych doprowadziło do tego, że żadna ze stron naszych krwawych bojów po prostu nie wie, co dzieje się, intelektualnie i politycznie, po drugiej stronie. Co druga strona przeżywa? O czym się wewnątrz niej dyskutuje?

Dziś to zjawisko przybrało jednak jeszcze szersze rozmiary. Dziś obie strony po prostu odmawiają zauważenia całych segmentów rzeczywistości, które nie są zgodne z ich światopoglądem i ich wizją przeciwnika. Gotów jestem założyć się o dolary przeciwko orzechom, że jeszcze parę lat temu taki Galopujący dobrze wiedział o burzeniu pomników „przez IPN". Ba, pewnie miał na temat tego burzenia wyrobione zdanie i pewnie było ono krytyczne. Że to jest temat zastępczy. Że po co, że to przeszłość. Że za pomocą tej kampanii rząd PiS organizuje sobie poparcie nacjonalistów.

Ale – wiedział.

Czasy się zmieniły i zapomniał. Zapomniał szczerze.

I nie, nie zarzucam mu hipokryzji.

Po prostu dziś, po wszystkich stronach wszystkich barykad, świat zaczyna się codziennie rano na nowo. Jeśli wczoraj działo się, istniało coś, co nie odpowiada naszej dzisiejszej potrzebie politycznej – to tego nie było. Włączamy wycieraczki.

I, choć w różnej mierze, dotyczy to wszystkich.

Sam ze wszystkich sił próbuję się przed tym uchronić i tych wycieraczek nie włączać. Ale jeśli kiedyś ktoś udowodni mi, że coś niesłusznego z odległej epoki dnia wczorajszego wyparłem – to szczerze mówiąc, wcale się nie zdziwię.

W końcu żyję wraz z Galopującym w tym samym świecie.

eprasa.pl be96d77ae9

Luka średniego pokolenia prawicy

Zwyczajowo przyjęło się mówić, że „starzy" głosują na prawicę, a w każdym wypadku na siły konserwatywne, młodzi zaś są radykalni, narwani i nierzadko nawet wywrotowi. Pomijając fakt, że obecne wyniki choćby wyborów prezydenckich (w których najczęściej wybieranym kandydatem w najmłodszej grupie wyborców był Sławomir Mentzen) **zaprzeczałyby** popularności poglądów liberalno-lewicowych wśród młodzieży, w znanym stereotypie brakuje wzmianki o średnim pokoleniu.

Hanna Szymerska

I właśnie ta luka w postaci średniego pokolenia może okazać się bardzo problematyczna dla wszelkich ruchów odwołujących się nie tylko stricte do tradycji, lecz również do szeroko pojętej wspólnoty.

Zmiana pokoleniowa i upadek systemu postkomunistycznego

Przyjęło się mówić o systemie postkomunistycznym w państwach byłego bloku wschodniego, w których jedne siły mają swoją genezę wśród niegdysiejszych sił obalających narzucony reżim, a drugie są spadkobiercami partii komunistycznych. Nie inaczej było w Polsce. Sprzyjały temu warunki: nie rozliczyliśmy niegdysiejszej nomenklatury, której potomkowie nierzadko dorabiali się w burzliwych latach transformacji, względnie znaleźli nowe zajęcie w świecie show-biznesu, a w polskiej debacie publicznej przez większość czasu prym wiodły sprawy obyczajowe, najczęściej ograniczające się do wyliczanki „Kościół, aborcja, LGBT". Po spektakularnej porażce SLD w następstwie afery Rywina, rządy w Polsce na lata były dzielone między PO i PiS, które z biegiem lat coraz bardziej się różniły. W zasadzie sama w sobie przemiana tych dwóch sił zasługuje na uwagę. Warto przypomnieć sobie w tym kontekście starą fotografię z wizerunkiem Donalda Tuska i dewocjona-



Fot. Adobe Stock

liów na jego stole, którą niezwykle trudno zestawić ze zdjęciami Rafała Trzaskowskiego na Paradzie Równości w 2026 roku. Z drugiej strony mamy przed oczami PiS, zawsze bardziej konserwatywne, celujące w swojej retoryce w nurty wspólnotowe. To one właśnie, w połączeniu z niesionym na sztandarach solidaryzmem społecznym, dały mu zwycięstwo w 2015 roku. Po latach ciepłej wody w kranie, emigracji zarobkowej Polaków i zaniedbania prowincji Beata Szydło na stałe wprowadziła etatyzm w Okno Overtona polskich planów gospodarczych za sprawą programu 500+, który bezwarunkowo pozwalał rodzicom otrzymać dochód na dziecko. Jak powszechnie wiadomo, wylała się na nią fala krytyki. Nie ma potrzeby przytaczania wszystkich komentarzy o „pińcsetplusach" i „kupowaniu wyborców, którzy wydadzą na wódkę", lepiej skupić się na ich autorach. Mamy wśród nich oczywiście znane osobistości polskiej sceny artystycznej (Krystyna Janda), ale również zwolenników ówczesnej Platformy Obywatelskiej, których radykalny odłam stanowili tzw. kodziarze – działacze i sympatycy Komitetu Obrony Demokracji. Ta grupa społeczna nie była jednorodna, aczkolwiek wśród nich najwięcej znajdziemy klasy średniej, mieszkającej nierzadko w dużych ośrodkach (gdzie, przypomnijmy, i tak wygrało PiS, ale różnica głosów oddanych na PiS i PO była najmniejsza i wynosiła 31,3% do 28,6%), lecz przede wszystkim w wieku średnim. W każdej grupie wiekowej w 2015 roku wygrało Prawo i Sprawiedliwość i w każdej z nich, oprócz najmłodszej, w której druga i trzecia lokata należała do ugrupowań Kukiz'15 i KORWiN, na drugim miejscu plasowała się Platforma. Jedynie w grupie wiekowej seniorów różnica pomiędzy procentowym poparciem dla PiS-u i PO była dwukrotna (47,1% do 23%); najmniejsza różnica wystąpiła w grupie wiekowej 40–49 lat (38,7% do 25,8%). Spójrzmy teraz na wyniki z 2023 roku. Pierwszą grupą wiekową, w której Prawo i Sprawiedliwość odniosło zwycięstwo, byli wyborcy 50–59 lat (44,2% do 32,2% dla KO; warto również zaznaczyć, że wyborcy w tym wieku w 12,4% poparli Trzecią Drogę). Jednocześnie patrząc na najstarszy elektorat, zauważymy, że o ile połowa wyborców zagłosowała na PiS, o tyle KO mogło liczyć na 31% poparcia.

CZY W OGÓLE JEST SILNA, CHARAKTERYSTYCZNA GRUPA O POGLĄDACH PRAWICOWYCH W WIEKU POMIĘDZY „KUCAMI" A „MOHERAMI"?

Mohery, kodziarze, kuce, pokolenie Marszu Niepodległości

Cofnijmy się jeszcze dalej. W czasach, w których Polska wstępowała do Unii Europejskiej, na pewnym etapie spopularyzowało się wyrażenie „moherowy beret", w skrócie „moher". Kto pamięta – wie, o czym mówię, kto nie – słowo to miało na celu obrażenie starszych pań popierających Prawo i Sprawiedliwość i/lub ojca Tadeusza Rydzyka; nazwa wywodzi się od noszonych przez nie beretów. Grupą młodszych prawicowców były tzw. kuce, które swój szczyt populacji i popularności zaliczyły w ubiegłej dekadzie. Poglądy kuców, których nazwa wywodzi się z kolei od długich, związanych włosów przedstawicieli płci męskiej, oscylowały wokół partii KORWiN, a same w sobie kuce wręcz bezkrytycznie podchodziły do wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego. Obok nich rozwijała się kolejna grupa – młodzi narodowcy. Osoby urodzone w latach dziewięćdziesiątych czy też na przełomie tysiącleci można nazwać tzw. Pokoleniem Marszu Niepodległości, który od 2010 r. przechodzi ulicami Warszawy. W przeciwieństwie do długowłosych rówieśników ta grupa społeczna nie podchodzi aksjomatycznie do kwestii wolnego rynku, lecz na pierwszy plan wyciąga kwestie narodowe, suwerennościowe ›



(w przeszłości mocno podkreślając wydźwięk antysystemowy i antykomunistyczny). A jak nazwać prawicę pomiędzy nimi? Czy w ogóle jest silna, charakterystyczna grupa o poglądach prawicowych w wieku pomiędzy „kucami" a „moherami"? Po stronie liberalnej odpowiedź nasuwałaby się sama: jest całe grono tzw. kodziarzy – zresztą, wystarczy spojrzeć na zdjęcia z protestów ws. Trybunału Konstytucyjnego czy Marszu Miliona Serc w 2023 roku. Istotny jest tu fakt, że już niedługo ta część społeczeństwa będzie najstarszą grupą wyborców, a mając na uwadze niż demograficzny ostatnich trzydziestu lat, również najliczniejszą. Ciekawy jest również fakt, iż grupa wiekowa osób w wieku średnim (w którą, należy podkreślić, wpisują się już również tzw. millenialsi) wyłamuje się ze schematu: jest pokoleniem bardziej liberalnym i zdecydowanie bardziej zlaicyzowanym od swoich rodziców, a jednocześnie mniej liberalnym od swoich dzieci – jeśli je ma. Co się wydarzyło w polskim społeczeństwie?

Brak ciągłości

Dajmy przykład II wojny światowej: opowie coś o niej dziewięćdziesięcioletnia babcia, która ją przeżyła, i trzydziestoletni wnuk, który w 2013 roku biegał w koszulce z Żołnierzami Wyklętymi. Babcia będzie do kwestii polityki polsko-niemieckiej odnosiła się na podstawie własnych doświadczeń czy nawet opowieści swojego starszego rodzeństwa, świadków zbrodni dokonanych w trakcie inwazji na Polskę. Wnuczek być może usłyszał o przeżyciach babci, ale jednocześnie słyszał też o „Łupaszce" czy „Ince", Wołyniu, Katyniu i Powstaniu Warszawskim z internetu. A skąd słyszeli o nich jego rodzice? Prawdopodobnie słyszeli o tych wydarzeniach w dużej mierze hasłowo w swoim dzieciństwie, a w latach późnych dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych byli bardziej zainteresowani kwestiami bytowymi – i nie należy się temu dziwić. Sama w sobie dyskusja o Powstaniu Warszawskim czy Żołnierzach Wyklętych nie jest zamknięta i dalej budzi kontrowersje. Tyle że (poza hasłami i anegdotami rzucanymi w komentarzach na portalach społecznościowych) na zgłębianie tematu człowiek pracujący i utrzymujący rodzinę często nie może sobie pozwolić. A co z rodzicami? Czy te nasze słynne „moheры" powiedziały o swoich doświadczeniach? Być może tak, ale ich słowa przepadły w natłoku codziennych spraw. Być może starali się zapomnieć o doświadczeniach traumy albo byli uciszani, tak jak rodziny ofiar Obławy Augustowskiej, które lata po zbrodni musiały mierzyć się z komunistyczną administracją. Być może niektóre idee przemówiły do nich jedynie powierzchownie. Być może niektórzy nie szukali wcale walki o suwerenność, Boga i wolność, a jedynie chcieli zażyć trochę adrenaliny. Wreszcie, być może było zupełnie inaczej: nie od dzisiaj wiemy, jak burzliwy był okres polskiej transformacji. Jednym były uwarunkowania gospodarcze, konieczność emigracji i upadanie średnich miast – nierzadko ojcowizn wielu z nas. Drugim była kwestia otwarcia na Zachód. Kiedy w Japonii przełomu XIX i XX wieku zezwolono na kontakty z państwami Europy, do ówczesnej popkultury przeszła cała zachodnia filozofia. Nagle wszystkie witryny tokijskich księgarń wypełniły się Platonem, Kartezjuszem, Schoppenhauerem i Alighierim. Nagły zalew wszystkich zachodnich trendów naraz wywołał nie lada poruszenie i niemniejszy zalew. I podobny chaos musiał nastąpić, gdy po latach mniej lub bardziej szczelnej izolacji do Polski przebiły się wszystkie trendy z Zachodu w sposób zbiorowy i gwałtowny.

> ŚREDNIE POKOLENIE JEST BARDZIEJ LIBERALNE I ZDECYDOWANIE BARDZIEJ ZLAICYZOWANE OD SWOICH RODZICÓW, A JEDNOCZEŚNIE MNIEJ LIBERALNE OD SWOICH DZIECI.

> NIE DA SIĘ BYĆ PRAWICĄ DLA KONKRETNEJ GRUPY WIEKOWEJ. I NIE DA SIĘ SKONSOLIDOWAĆ NA JEDNYM POKOLENIU NARODU.

Nowa Prawica

Kwestia „prawicowej luki" w średnim pokoleniu zaowocuje w wynikach wyborczych za rok, pięć, dziewięć i za kolejne wielokrotności liczby cztery. Na miejsce poczciwych, konserwatywnych „babć" przyjdą

eprasa.pl be96d77ae9

ich córki, które prawdopodobnie nie zmienią radykalnie poglądów na starość – a przynajmniej nie zrobią tego z samej racji wieku. Liczebność tego pokolenia może wpłynąć na podtrzymanie liberalnego status quo (tak jak w wielu państwach), ale nie musi, zwłaszcza mając na uwadze czynniki zewnętrzne szybko zmieniającego się świata. Jednocześnie nie oznacza to automatycznej przegranej dla ruchów odwołujących się do tradycji czy – szerzej – wspólnoty. W pewien sposób możemy zauważyć, że te bynajmniej nie oddają walki o rząd dusz walkowerem, lecz zmieniają przekaz. Nie bez powodu coraz rzadziej słyszymy, zwłaszcza w nowych mediach, o proniemieckiej polityce Donalda Tuska – ten przymiotnik nie wywołuje już tak silnych emocji u młodych, którzy o II wojnie światowej słyszeli z opowieści, a o ciągłej obawie przed niemiecką agresją Polaków na Ziemiach Odzyskanych nie słyszeli wcale. Szeroko pojęta prawicowa opozycja coraz bardziej podkreśla kwestie prorozwojowe i spotyka się na tym polu z posłuchem, czego najlepszym dowodem była inicjatywa „Tak dla CPK" urastająca do rangi historycznej – jako jeden z nielicznych ruchów masowych młodzieży ukierunkowany na kwestie nieobyczajowe. Jednocześnie nie samym rozwojem młody prawicowiec żyje, a kwestia programu społecznego, mitów narodowych czy symboli może także okazać się kluczowa w następnych latach. Stoimy przed wyzwaniami zarówno wynikłymi z liberalizmu obyczajowego, jak i z polityki migracyjnej Unii Europejskiej. Obie te kwestie dają się we znaki i na żadną z nich nie ma prostych odpowiedzi. Nie ma też, być może, za sprawą pewnej przespanej rewolucji kulturowej w XXI-wiecznej Polsce dawnych, konserwatywnych punktów zaczepienia czy osób jednoczących naród, z Janem Pawłem II jako uosobieniem sacrum na czele. W którą stronę pójdą młodzi prawicowcy, których rodzice nie nauczyli tradycyjnych wartości, a dziadkowie „żyli mentalnie w innym świecie"? Mówiąc katastroficznie: być może będziemy mieli prawicę pogańsko-barbarzyńską, powiązaną z ruchami skrajnie mizoginistycznymi, której obce będą chrześcijańskie pojęcia miłosierdzia czy solidaryzmu. Być może za naście lat młody prawicowiec zachłyśnie się kolejnym wcieleniem mikroskopijnych leseferystycznych ruchów i zechce wysłać wszystkich obrońców praw pracowniczych poza nawias debaty publicznej. Być może w przyszłości prawica skopiuje kolejny trend z Zachodu i zdziwi się, że nie da się przenosić 1:1 zagranicznych wzorców na polskie warunki. I być może wszystkich tych futurystycznych, niedopuszczalnych i katastroficznych scenariuszy dałoby się uniknąć, zachowując ciągłość przekazywania konkretnych idei z pokolenia na pokolenie. W sytuacji, w której nie dało się tego zrobić ze względu na warunki zewnętrzne, jakiekolwiek ugrupowanie o charakterze wspólnotowym musi zdać sobie sprawę z konieczności dotarcia do średniego pokolenia. Nie da się być prawicą dla konkretnej grupy wiekowej. I nie da się skonsolidować na jednym pokoleniu narodu. S

W KTÓRĄ STRONĘ PÓJDĄ MŁODZI PRAWICOWCY, KTÓRYCH RODZICE NIE NAUCZYLI TRADYCYJNYCH WARTOŚCI, A DZIADKOWIE „ŻYLI MENTALNIE W INNYM ŚWIECIE"?

PATRZEĆ WILKIEM **MICHALSKI**



eprasa.pl be96d77ae9

Kontrakty różnicowe dla Morskiej Energetyki Wiatrowej

ZABIJĄ INNOWACJE I ROZWÓJ GOSPODARCZY



„Transformacja klimatyczno-energetyczna w Polsce wymaga mobilizacji zarówno publicznych, jak i prywatnych źródeł finansowania. Środki publiczne, choć znaczące, nie są wystarczające do pełnego pokrycia kosztów transformacji, dlatego konieczne jest zaangażowanie kapitału prywatnego poprzez tworzenie korzystnych warunków inwestycyjnych, takich jak obniżenie ryzyka inwestycyjnego lub zwiększenie potencjalnych zysków”. Ten przydługi cytat z Krajowego Planu w dziedzinie Energii i Klimatu (KPEiK, zał. nr 5, s. 43) wyjaśnia, jak zielona transformacja zabije innowacyjność i rozwój polskiej gospodarki. Stworzone zostaną mechanizmy obniżające ryzyko i zwiększające zyski dla „zielonych” inwestycji – a cała reszta gospodarki **pozbawiona zostanie kapitału**. Narzędziem do realizacji tego celu są kontrakty różnicowe (CfD).

Szczepan Ruman

Fot. Adobe Stock

Nieraz słyszy się narzekanie, że mamy w Polsce za mało kapitału: podczas gdy państwa zachodnie mają kapitał nagromadzony przez pokolenia, w Polsce, po stuleciach zaborów i pustoszących wojen, dopełnionych półwieczem komunizmu, mamy tylko tyle, ile „dorobiliśmy się" przez ostatnich 37 lat... Ale dla niektórych to i tak za dużo. Polski wzrost gospodarczy kłuje w oczy. Po co Polakom ten kapitał? A nóż jeszcze coś dużego im się uda? Do tego dopuścić nie wolno: to zbyt zdolny naród, aby puścić to tak „na żywioł". Dlatego zaoferowano Polsce dołączenie do prestiżowego europejskiego formatu krajów E5, aby wraz z Polską powstało E6. Kraje E5 już wdrożyły „Zielony Ład" i mają za lata 2008–2024 skumulowany wzrost gospodarczy na poziomie 12%, czyli średnio 0,75% rocznie (permanentna stagnacja). Czas, by Polska wyrównała krok (**tabela 1**).

Tabela 1. Wzrost gospodarczy w wybranych obszarach Europy w latach 2008–2024

Polska	71%
Holandia	26%
Wielka Brytania	25%
Niemcy	23%
Strefa euro	15%
Kraje E5 + Wlk. Brytania	15%
Kraje E5	12%
Francja	8%
Hiszpania	5%
Włochy	-2%

Źródło: Bank Światowy, dane w dolarach amerykańskich.

Odpowiedzią na tę potrzebę „zorganizowania" polskiego rozwoju na odpowiednio niskim poziomie jest Krajowy Plan w dziedzinie Energii i Klimatu. Na walkę z dwutlenkiem węgla mamy wydać 3,5 bln zł, czyli mniej więcej tyle, ile wydały USA na 9-letnią wojnę w Iraku (823 mld dolarów, według szacunków Biura Analiz Kongresu USA). Jest jednak istotna różnica: „pokonanie" CO_2 nie da nam dostępu do pól naftowych. Będą to całkowicie „koszty utopione", bez żadnych pozytywnych rezultatów w dziedzinie innowacyjności czy konkurencyjności gospodarki. Dodatkowym bonusem będzie podwyższenie kosztów energii, które przecież już teraz są w Polsce najwyższe na świecie.

ZADŁUŻENIE POLSKI DOBIJA OBECNIE DO 60% PKB. PLANOWANE WYDATKI NA TRANSFORMACJĘ – 3,5 BLN ZŁ – STANOWIĄ PONAD 75% OBECNEGO PKB POLSKI.

Zadłużenie Polski dobija obecnie do 60% PKB (i szybko rośnie). Planowane wydatki na transformację – 3,5 bln zł – stanowią ponad 75% obecnego PKB Polski. Gdyby to w prosty sposób zsumować, to wylądowalibyśmy na zadłużeniu na poziomie 135% PKB. Dlatego autorzy KPEiK słusznie zauważają, że środków publicznych po prostu nie wystarczy – choć robią to dopiero na 43. stronie załącznika nr 5, aby nie kłuć wrażliwych oczu wyznawców religii klimatycznej. Trzeba będzie „mobilizować" kapitał prywatny: kontrakty różnicowe (CfD). Kontrakty te są ostatecznym spełnieniem marzeń każdego finansisty – oferują „zysk bez ryzyka".

W normalnym świecie oczekiwany zysk z inwestycji jest wprost związany z ryzykiem danej inwestycji. Inwestorzy są skłonni przeznaczyć środki na bardziej ryzykowny projekt – pod warunkiem, że w przypadku sukcesu obiecuje on wysokie zyski. I na odwrót: dla projektów o bardzo niskim ryzyku jest ogromna liczba inwestorów chętnych do przeznaczenia swoich środków na taki bezpieczny projekt, więc można im zaoferować niskie zyski. Jednak dla „transformacji" należy „mobilizować" kapitał prywatny, bo potrzeby są ogromne, a chętnych na zasadach rynkowych brak. Odwracamy więc prawa ekonomii: w ramach CfD dla morskich farm wiatrowych całość ryzyka ma wziąć na siebie państwo (czyli podatnicy), a „inwestor" ma mieć zagwarantowany i wysoki zysk. Państwo zagwarantuje odkup całości wyprodukowanej przez farmę energii po określonych wysokich cenach przez 25 lat, czyli cały okres istnienia morskiej farmy wiatrowej. Ceny będą indeksowane o inflację, żeby

eprasa.pl be96d77ae9

Tabela 2. Szacowane koszty zakupu 1 MWh energii i wysokość gwarancji państwowych dla przychodów Morskiej Energetyki Wiatrowej (MEW) w oparciu o ustawę z dnia 9 października 2025 r.

Rok	Cena za 1 MWh (w zł)	Roczny przychód gwarantowany dla MEW przez Skarb Państwa (w zł)
2032	582	8 037 893 066
2038	675	32 422 579 774
2044	783	37 600 252 366
2050	908	43 604 765 192
2056	1054	50 568 159 196
2062	1222	8 063 489 691

Źródło: Obliczenia własne w oparciu o ceny z aukcji z 17.12.2025 r., założenie inflacji na poziomie celu inflacyjnego NBP oraz efektywności farm deklarowanej przez Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej.

na pewno pozostały na odpowiednio wysokim poziomie przez cały czas trwania kontraktu.

Wprowadzająca te możliwości, przegłosowana większością 91% posłów (418 głosów) ustawa z dnia 9 października 2025 r. o wsparciu morskiej energetyki wiatrowej, podpisana przez prezydenta 4 listopada 2025 r., to prawdopodobnie najgroźniejsza dla polskiej gospodarki ustawa ostatnich dekad. Zgodnie z nią Skarb Państwa nie poniesie samego kosztu budowy tych farm, który ma wynieść ok. 240–300 mld zł – gorzej, nasz budżet zagwarantuje całość ich przychodów na 25 lat ich działania, czyli ponad 1 bln zł. Oznacza to, że bez względu na to, czy wyprodukowana przez te farmy energia będzie nam potrzebna, czy nie (np. będą nadprodukowały energię w momentach niskiego zużycia lub w momentach, kiedy do sieci za dużo energii wprowadza już fotowoltaika), bez względu na to, jaką ta energia będzie miała wartość na rynku (np. jej rynkowe ceny będą bardzo niskie, ze względu na wspomniane powyżej zjawisko nadprodukcji) – Skarb Państwa wypłaci tym projektom „wyrównanie" z naszych podatków, aby miały przychody takie, jak gdyby sprzedały całość wyprodukowanej energii po bardzo wysokich cenach. Skalę tych gwarancji obrazuje **tabela 2**.

Jak widać, gwarancje państwowe mają sięgnąć nawet 50 mld zł rocznie. Sumaryczna kwota udzielonych gwarancji Skarbu Państwa dla przyjętych założeń wynosi 1,018 mld zł na przestrzeni 31 lat. W bankowości i finansach takie gwarancje czy poręczenia – wliczane są do czyjejś zdolności kredytowej. Trzeba przecież uwzględnić scenariusz, w którym przy niekorzystnym rozwoju wypadków gwarant musi wypłacać całość lub prawie całość gwarantowanej kwoty. Wspomniana ustawa otwiera furtkę do udzielenia gwarancji Skarbu Państwa na ten 1 bln zł. Do udzielenia tych gwarancji nie jest już wymagana ani żadna inna ustawa, ani podpis prezydenta. Jedną ustawą stworzono możliwość zagwarantowania zagranicznym firmom przychodów w wysokości ponad biliona złotych, na ponad 30 lat – z kieszeni polskiego podatnika.

Warto zauważyć, że Krajowy Plan w dziedzinie Energii i Klimatu tych kosztów nie uwzględnia – uwzględnia jedynie koszt wybudowania tych farm, na wspomnianym wcześniej poziomie 240–300 mld zł. Ale gwarancje udzielane z kieszeni podatników mają objąć kwotę 4 razy wyższą, wypłacaną na przestrzeni prawie 40 lat. Okazuje się więc, że nawet najbardziej ekstrawaganckie szacunki, opiewające na 3,5 bln zł – wciąż nie uwzględniają pełnych kosztów „zielonej transformacji".

Zaoferowanie na polskim rynku takich „inwestycji" na setki miliardów złotych, gwarantujących zysk bez ryzyka, faktycznie „zmobilizuje" kapitał prywatny – na dwa sposoby. Sposób pierwszy: międzynarodowe fundusze spoza Polski zlecą się jak sępy nad padliną, chętne do zainwestowania maksymalnie dużych środków w te projekty. Obligacje państwa polskiego dają zarobek rzędu 4% rocznie, a na „transformacji" zarobić będzie można pewnie 12–14% – podczas gdy zysk ten będzie gwarantowany przez nasze państwo prawie tak samo jak obligacje... W ten sposób wygenerujemy ogromną rzekę pieniędzy wypływającą z naszej gospodarki do zagra-

JEŚLI DECYDUJEMY SIĘ FINANSOWAĆ TRANSFORMACJĘ ZAMIAST INNOWACJI, TO NIE DZIWMY SIĘ, ŻE INNOWACJE UCIEKAJĄ GDZIE INDZIEJ.

eprasa.pl be96d77ae9

nicznych funduszy – z projektów, które nie przynoszą nam żadnej korzyści poza „zmniejszeniem emisji". Spowoduje to długofalowe pogorszenie bilansu płatniczego Polski – wypływ setek miliardów złotych na przestrzeni czterech dekad, co trwale ograniczy wzrost gospodarczy naszego kraju.

Jest jeszcze jednak drugi wymiar „mobilizowania" kapitału prywatnego – przecież zmobilizowany zostanie także nasz wewnętrzny, polski kapitał. Wspomniane na wstępie, wątłe na tle państw Zachodu, zasoby kapitału, którymi dysponujemy – zachęcone zostaną do zaangażowania w transformację obiecującą minimalne ryzyko i wysokie zyski. Zyskowne finansowanie transformacji wyssie z rynku polski kapitał. A gdzie finansowanie innowacji? Wzrostu nowoczesnych przedsiębiorstw? Rozbudowy zakładów przemysłowych? Logistyki? Centrów danych? Sztucznej inteligencji, dronów i sektora kosmicznego? Wszystkie te obszary będą musiały na naszym płytkim rynku kapitałowym konkurować z „transformacją". Jeśli „zielone" projekty zaoferują 12% bez ryzyka, to ile musiałby zaoferować innowacyjny polski start-up? Potem będą utyskiwania, że nasi innowatorzy i naukowcy robią karierę w USA, a nie w Polsce. Przecież to kwestia wolnego wyboru: jeśli decydujemy się finansować transformację zamiast innowacji, to nie dziwmy się, że innowacje uciekają gdzie indziej.

Ostatnim zabójczym elementem kontraktów różnicowych są koszty energii, jakie te kontrakty wykreują na polskim rynku. Ceny zakupu energii z MEW wystartują z poziomu 582 zł/MWh w 2032 r., aby dojść do poziomu 1,222 zł/MWh w roku 2062 – i to przy korzystnych założeniach odnośnie do inflacji. A to jest przecież sam koszt zakupu „niezbilansowanej" energii, do którego trzeba doliczyć koszty bilansowania, dodatkowe opłaty, przesył, dystrybucję i podatki. Takie koszty zakupu energii z morskiej energetyki wiatrowej zabiją przemysł w Polsce.

KOSZTY ZAKUPU ENERGII Z MORSKIEJ ENERGETYKI WIATROWEJ ZABIJĄ PRZEMYSŁ W POLSCE.

Niedawno zarządzająca polskim oddziałem zagranicznej firmy wiatrakowej pani Agata Staniewska-Bolesta powiedziała, że „offshore jest nam bardzo potrzebny w systemie elektroenergetycznym, niezależnie od tego, ile będzie kosztował". Zrozumiałe stanowisko z jej punktu widzenia, trzeba tylko odpowiednio zrozumieć słowo „nam". Warto przypomnieć, że ustawę o wsparciu morskiej energetyki wiatrowej z 9 października 2025 r. przygotowało Ministerstwo Klimatu, w którym wiceministrem jest mąż pani Agaty, Krzysztof Bolesta. W tym miejscu można również przytoczyć listę tzw. Top Speakers z niedawnej konferencji organizowanej przez Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej, czyli podmiot zrzeszający firmy, które mają osiągnąć setki miliardów przychodów w oparciu o kontrakty różnicowe: wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, minister aktywów państwowych Wojciech Balczun, minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska, minister energii Miłosz Motyka, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury Arkadiusz Marchewka, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Marcin Bosacki, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu Urszula Zielińska, sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii Michał Jaros, a nawet pełnomocnik rządu ds. instrumentu SAFE Magdalena Sobkowiak-Czarnecka...

Trzy sposoby działania kontraktów różnicowych: stworzenie rzeki pieniędzy wypływających za granicę, jednoczesne wytworzenie kapitałowej suszy dla przedsiębiorców na rodzimym rynku oraz wywindowanie kosztów energii do najwyższych poziomów na świecie – zapewnią trwałe ograniczenie wzrostu polskiej gospodarki. Jeśli dopuścimy do zawarcia kontraktów różnicowych dla morskiej energetyki wiatrowej, to na kolejne cztery dekady możemy być spokojni, że w zakresie wzrostu gospodarczego uda nam się „dogonić" strefę euro, a może i nawet państwa z grupy E5... S

STWORZENIE RZEKI PIENIĘDZY WYPŁYWAJĄCYCH ZA GRANICĘ ZAPEWNI TRWAŁE OGRANICZENIE WZROSTU POLSKIEJ GOSPODARKI.

eprasa.pl be96d77ae9

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Przepracowani przeszłością

Zdzisław Krasnodębski

Pośród wielu kiedyś popularnych, a dzisiaj zapominanych cytatów jest także – przytaczane w mniej lub bardziej dokładnej formie – stwierdzenie amerykańskiego filozofa George'a Santayany: „Those who cannot remember the past are condemned to repeat it" (Ci, którzy nie potrafią zapamiętać przeszłości, są skazani na jej powtórzenie). To była przez wiele lat lewicowa mantra. Oczywiście chodziło o przeszłość złą, zbrodniczą, krwawą – o niej trzeba było mówić, o niej pamiętać, by się nie powtórzyła. Trzeba było ją „przezwyciężać" czy – jak się mówi w postfreudowskim żargonie – „przepracowywać", żeby się od niej uwolnić.

Paradygmat takiego odnoszenia się do przeszłości wypracowali Niemcy pod nadzorem i naciskiem aliantów oraz swoich wpływowych ofiar (do których Polacy się jednak nie zaliczali). Przeszłość Niemiec doskonale nadawała się do tego, by potraktować ją jako odstraszający przykład w procesie reedukacji, która miała być fundamentem trwałej demokratyzacji społeczeństwa. Niemiecki obóz zagłady Auschwitz był jądrem ciemności Europy, symbolem zła absolutnego, po którym pisanie wierszy było – jak twierdził Theodor Wiesengrund Adorno – barbarzyństwem. Tym bardziej był to symbol wymowny, że obóz ten został „wyzwolony" przez uchodzącą długo za postępową Armię Czerwoną i dlatego mimo wszystko jednoczył oba „bloki": „Wschód" i „Zachód".

Ten krytyczny sposób obchodzenia się z przeszłością, historyczny rachunek sumienia, uchodził za zalecany wzór dla tych wszystkich, którzy mieli zabagnioną przeszłość. Ale nawet historia najnowsza Włoch, Hiszpanii czy Francji nie do końca dawała się wcisnąć w ów pedagogiczny schemat, a cóż dopiero Polski. Mimo to wśród naszych zapaleńców panowało przekonanie, że np. książka Jana Tomasza Grossa o Jedwabnem wywoła polski „Historikerstreit", po którym demony nacjonalizmu na zawsze opuszczą nasze dusze. Niemiecka „Vergangenheitsbewältigung", w której zawarta była idea, że przeszłość jest przeszkodą, winą, którą trzeba z siebie zrzucić przez ekspiację, była tylko zapowiedzią obecnej ogólnozachodniej „cancel and woke culture". W przeszłości odnajduje się teraz coraz liczniejsze pokłady zbrodni i nikczemności. Już np. nie tylko Hitler, lecz także Winston Churchill okazał się osobnikiem wymagającym napiętnowania. „Cancel culture" jest bezlitosna, jeśli bowiem we współczesnym świecie ma zapanować humanitarny raj, z którego dobrodziejstw nikt nie zostanie wykluczony, to cała przeszłość musi się jawić jako przedsionek piekła, w którym tylko nieliczni sprawiedliwi wskazywali drogę ku światłu. Ci sprawiedliwi są konieczni, bo pamięć nie może być jedynie pamięcią o przeszłym złu, nieszczęściu i cierpieniach, trzeba pokazywać także postacie i wydarzenia pozytywne. W miarę jak postępował proces „przezwyciężania przeszłości", powiększał się więc poczet postaci i wydarzeń chwalebnych – rósł np. ruch anty-

WYPOMINANIE GENERAŁOWI JARUZELSKIEMU CZY KISZCZAKOWI PRZESZŁOŚCI UCHODZIŁO W NIEKTÓRYCH KRĘGACH ZA NIETAKT TOWARZYSKI, WYRAZ ZŁEGO SMAKU, ZA „OSZOŁOMSTWO".

eprasa.pl be96d77ae9

hitlerowskiego oporu w Niemczech, rehabilitowano niektórych filozofów, przypominano dobre strony narodowej historii.

Trzeba dodać, że „przepracowywanie" przeszłości zawsze było selektywne – tylko niektóre cierpienia były godne uwagi, a czyny godne głośnego i masowego potępienia. Niechętnie przypominano zbrodnie popełniane w imię postępu – od Wandei po komunizm. Dopiero wtedy, gdy komunizm potraktowany został jako zjawisko wyłącznie „wschodnioeuropejskie", niemające nic wspólnego z „zachodnim marksizmem", nieobciążające komunizujących intelektualistów francuskich, amerykańskich czy niemieckich, uznano jego zło. Dawni wyznawcy marksizmu na „Zachodzie", a także różnorodni zwolennicy współpracy ze Związkiem Sowieckim niechętnie jednak wspominają swoją kolaborację z komunizmem – odmowa w PE, żeby w 2015 r. rezolucją przypomnieć i potępić porozumienie w Jałcie, nie była przypadkiem; haniebna zdrada Polski przez zachodnich sojuszników nigdy nie została przez nich „przepracowana".

Inny przykład lęku przed „przepracowaniem" to „dekomunizacja" po 1989 r. w Polsce – dekomunizacja, której nie było, gdyż postkomunistyczna lewica i świeżo upieczeni postsolidarnościowi liberałowie zwalczali ją zaciekle, protestując przeciw „winie zbiorowej". Wypominanie generałowi Jaruzelskiemu czy Kiszczakowi przeszłości uchodziło w niektórych kręgach za nietakt towarzyski, wyraz złego smaku, za „oszołomstwo". Dopiero teraz – w czasach „demokracji walczącej" – na nowo dowiadujemy się, że „rozliczenia" przestępstw ancien régime'u, pamięć o jego „zbrodniach", jest niezbędnym fundamentem demokracji.

Niewątpliwie łatwiej jest pamiętać krzywdy doznane niż krzywdy wyrządzone. Dlatego niemal wszystkie grupy społeczne, etniczne i narodowe kultywują pamięć o cierpieniach i prześladowaniach, jakich doznawały w przeszłości. Znany socjolog amerykański Neil Smelser tak kiedyś charakteryzował pamięć o „zbiorowej traumie". Składają się na nią „wspomnienia zaakceptowane i publicznie uznane przez grupę członków, przywołujące wydarzenie lub sytuację, które są (a) obciążone negatywnymi emocjami, (b) przedstawiane jako nieusuwalne oraz (c) postrzegane jako zagrażające istnieniu danej społeczności lub naruszające jedno lub więcej z jej fundamentalnych założeń kulturowych". Pojawiło się przy tym zjawisko rywalizacji ofiar, licytacji na cierpienia, którą po II wojnie światowej wygrywali w cuglach Żydzi, choć w USA ich pozycja była od pewnego czasu ostro kontestowana przez Afroamerykanów, potomków ofiar handlu niewolnikami. Dopiero obecnie polityka Izraela w Gazie sprawiła, że ich pozycja została zachwiana i muszą się odnaleźć w nowej dla siebie roli – sprawcy.

Proces „przepracowywania" okazał się pracą ustawiczną. Gdy jednak osiągnął swoje apogeum w „cancel culture", zdarzyła się rzecz z tego punktu widzenia nieoczekiwana. Otóż współczesność nie okazała się „wiecznym pokojem", a w dodatku pojawili się „bardzo źli ludzie", którzy zaczęli kwestionować ideologię humanitaryzmu, otwartości i demonstrować niezadowolenie z imigracji, z eksperymentów obyczajowych, z wielokulturowości. W polityce pojawili się liczni „faszyści", na czele z ekscentrycznym prezydentem USA. To, że żadne z „faszystowskich" ugrupowań nie zamierzało „maszerować na Rzym", żadne nie dąży

POJAWIŁO SIĘ ZJAWISKO RYWALIZACJI OFIAR, LICYTACJI NA CIERPIENIA, KTÓRĄ PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ WYGRYWALI W CUGLACH ŻYDZI.

ORGANIZACJE SKRAJNEJ LEWICY W RODZAJU „ANTIFY" DOKONYWAŁY I DOKONUJĄ AKTÓW GWAŁTU I KWESTIONUJĄ DEMOKRACJĘ PARLAMENTARNĄ.

eprasa.pl be96d77ae9

do obalenia demokracji, nie gloryfikuje przemocy, nie tworzy paramilitarnych bojówek, że ich celem jest wygranie wyborów i sprawowanie władzy zgodnej z podstawowymi regułami prawa, nie przeszkadza w ich demonizowaniu. A przecież to organizacje skrajnej lewicy w rodzaju „Antify" dokonywały i dokonują aktów gwałtu i kwestionują demokrację parlamentarną. Słusznie więc zmarły niedawno filozof Jürgen Habermas ostrzegał przed wielu laty przed lewicowym faszyzmem.

Na tle tej epoki niezwykle interesujący jest przypadek ukraiński. Wydawałoby się, że jakiekolwiek pozytywne odniesienie do OUN i UPA , do „eliminatorskiego" nacjonalizmu, wywoła falę oburzenia. Jeśli bowiem widziano faszyzm wszędzie, to w OUN i w UPA musiał on wręcz bić w oczy i do bólu poruszać sumienia.

Tymczasem w obszernej rezolucji Parlamentu Europejskiego, odnoszącej się do sprawozdania Komisji Europejskiej o Ukrainie, czytamy, że Parlament „przypomina swoje uprzednio przyjęte stanowisko w sprawie Rzezi Wołyńskiej, ubolewa nad niedawną niepotrzebną i niesprowokowaną eskalacją spowodowaną przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, polegającą na nadaniu elitarnej jednostce Sił Zbrojnych Ukrainy imienia «Bohaterów UPA» (Ukraińskiej Powstańczej Armii);

> JEŚLI KTOŚ DLA TAKIEGO CELU JAK NIEPODLEGŁOŚĆ KRAJU DOPUSZCZA MASOWĄ CZYSTKĘ ETNICZNĄ, WYMORDOWANIE DZIESIĄTKÓW TYSIĘCY LUDZI, TO NIE MOŻNA MU UFAĆ.

ubolewa, że zwłaszcza w świetle niezachwianego wsparcia Polski dla Ukrainy w walce z rosyjską agresją zaniedbano fakt, że kwestia ta jest delikatna i bolesna dla polskiego społeczeństwa w kontekście szacowanej na wiele dziesiątków tysięcy liczby ofiar UPA i ich rodzin; uważa, że decyzja ta szkodzi stosunkom dobrosąsiedzkim oraz wcześniejszym wysiłkom na rzecz rozwiązania nierozstrzygniętych i bolesnych aspektów dwustronnych stosunkach historycznych w duchu prawdziwego i szczerego pojednania, a także nie jest zgodna z wartościami europejskimi; wzywa do deeskalacji i wznowienia wysiłków w dobrej wierze na rzecz pojednania". Chodzi zatem o „kwestię delikatną i bolesną" dla Polaków, o „niezgodność z wartościami europejskimi", a nie o fundamentalną sprawę – o realne zagrożenie w przyszłości, o to, że „nieprzepracowana" historia może się powtórzyć. W całej obecnej dyskusji już nikt nie powołał się na Santayanę. Co ciekawe, najbardziej milczący i powściągliwi – zapewne z przepracowania – są teraz ci, którzy tak usilnie „przepracowywali" polską przeszłość narodową. Usłyszeliśmy tylko, że nie szanuje się naszej wrażliwości, tak jakby chodziło o jakieś subiektywne odczucie i kwestię dobrej woli i empatii ze strony ukraińskiej. Nikt nie wykrzyknął, że jeśli te zbrodnie nie zostaną potępione, jeśli ktoś dla takiego celu jak niepodległość kraju dopuszcza masową czystkę etniczną, wymordowanie dziesiątków tysięcy ludzi, to nie można mu ufać, nie można wykluczyć, że przeszłość się nie powtórzy.

KLESZCZE MICHALSKI



eprasa.pl be96d77ae9

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Niedawno minęła 83. rocznica ludobójstwa na Wołyniu dokonanego na polskiej ludności cywilnej przez ukraińskich nacjonalistów. Widzę, że ma Pan zdjęcia z Marszu Pamięci z 11 lipca 2015 roku.

Tomek: – Tak, jeszcze żył śp. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który całe życie upamiętniał ofiary tej zbrodni i konsekwentnie domagał się prawdy.

– Uwiecznił Pan na zdjęciu także innego niezłomnego kapłana, przyjaciela bł. ks. Jerzego Popiełuszki, ks. Stanisława Małkowskiego.

– To bardzo dzielny ksiądz, w stanie wojennym był na pierwszym miejscu listy wrogów komuny przeznaczonych do „likwidacji” przez SB. Nigdy się nie ugiął i zawsze konsekwentnie bronił Polski i Kościoła. Dziś niestety już nie chodzi na marsze patriotyczne, nie pozwala mu na to bardzo ciężki stan zdrowia.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl be96d77ae9

KULTURA

Czytaj też:
Historie z podwórek 54
Polski J.D. Vance 57



Żyję wewnątrz piosenek

– Chciałabym przede wszystkim tworzyć muzykę dla ludzi. Największą satysfakcję daje mi moment, kiedy patrzę na publiczność podczas koncertów i widzę uśmiechnięte twarze. To właśnie wtedy mam poczucie, że robię coś naprawdę ważnego – mówi **Fida**, wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. arch. rozmówcy

eprasa.pl be96d77ae9

„Perły za Kredensem” to singiel promujący nadchodzącą debiutancką płytę Fidy, której premiera jest zaplanowana jeszcze na ten rok. Utwór powstał we współpracy producenckiej z Patrickiem the Panem. Opowiada o silnym przywiązaniu do kogoś, od kogo, pomimo bólu, nie można się uwolnić. Te perły są właśnie tym symbolem przywiązania.

– Wyglądasz na osobę, która po prostu żyje sztuką. Mam rację?
– Zdecydowanie. Czasami mam nawet wrażenie, że żyję wewnątrz piosenek. Każdy dzień przynosi nowe emocje i nowe pomysły. W praktyce niemal codziennie powstaje jakaś nowa melodia albo tekst.

– Czyli wena przychodzi do Ciebie regularnie?
– Nie powiedziałabym, że to kwestia nieustannej weny. Tworzę bardzo dużo, ale równie dużo wyrzucam. Większość szkiców nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Naprawdę usuwasz własne utwory? Kiedyś może się okazać, że z tych odrzuconych piosenek powstanie osobna płyta.
– Obawiam się, że byłaby to raczej słaba płyta. W twórczości trzeba być wobec siebie krytycznym. Są dni, kiedy wszystko idzie świetnie, ale bywają też takie, kiedy nic mnie nie satysfakcjonuje. Mimo to tworzę cały czas.

– Zwróciłem uwagę na to, że w Twojej muzyce słychać wiele inspiracji. Jest folk, są ballady, miejscami słyszę nawet delikatny rockowy pazur. To świadomy zabieg?
– Szczerze mówiąc, zaskoczyłeś mnie. Nigdy wcześniej nie pomyślałam, że ktoś odbierze moją muzykę właśnie w ten sposób.

– Ja naprawdę słyszę tam pewien rockowy charakter. Zwłaszcza w Twoim najnowszym singlu, który zapowiada płytę. Oczywiście nie mówię o ciężkim graniu, ale o emocjonalnej balladzie z rockowym zacięciem.
– To bardzo ciekawe skojarzenie i jednocześnie ogromny komplement. Zawsze wydawało mi się, że jestem raczej spokojną osobą, a moja muzyka jest wyciszona i melancholijna.

– Naprawdę uważasz swój głos za spokojny?
– Tak. Mam wrażenie, że najlepiej odnajduję się właśnie w balladach i bardziej nostalgicznych utworach.

– A ja chętnie usłyszałbym Cię z gitarowym przesterem.
– Może kiedyś spróbuję. Na razie jednak najbliżej mi do melancholijnego, folkowego popu.

– Przejdźmy do Twojego nowego singla „Perły za Kredensem”. To bardzo nieoczywisty tytuł. Co właściwie oznaczają te perły?
– To przede wszystkim metafora przywiązania. Do ludzi, wspomnień, emocji, czasem nawet do własnych traum. W piosence śpiewam o czymś, czego nie potrafię wypuścić z rąk. Trzymam te symboliczne perły bardzo mocno, choć wiem, że być może powinnam je zostawić za sobą. Mam nadzieję, że kiedyś przyjdzie taki moment, w którym odpuszczę i przestanę kurczowo trzymać się przeszłości.

– A gdybym zinterpretował ten tytuł inaczej? Powiedziałbym, że to Ty jesteś taką „perłą za kredensem” – artystką z ogromnym potencjałem, która jeszcze czeka na odkrycie.
– To bardzo ciekawa interpretacja. Nigdy wcześniej nie spojrzałam na ten tytuł w taki sposób.

– Właśnie tak go odczytałem.
– Ja z kolei zawsze wyobrażałam sobie te perły bardziej dosłownie – gdzieś zakurzone, schowane za starym kredensem.

– Ale Ty przecież nie jesteś zakurzoną artystką. Dopiero zaczynasz swoją drogę.
– To prawda, choć motyw kurzu bardzo często pojawia się w mojej twórczości.

TWORZĘ BARDZO DUŻO, ALE RÓWNIE DUŻO WYRZUCAM.

– Masz alergię na kurz?
– Nie. Po prostu bardzo lubię ten obraz. Mam nawet utwór zatytułowany „W kącie kurz”.

– Czyli lubisz porządek?
– Bardzo. Sprzątanie naprawdę mnie uspokaja.

– Na jakim etapie swojej kariery jesteś dzisiaj. Czy muzyka pozwala Ci już żyć wyłącznie z niej?
– Powoli do tego zmierzam, ale nadal pracuję na etacie.

– W jakiej branży?
– W IT.

– Naprawdę?
– Tak.

eprasa.pl be96d77ae9

– Tego się nie spodziewałem. Programujesz?
– Nie. Z zawodu jestem etycznym hakerem.

– Brzmi fantastycznie.
– Brzmi zdecydowanie lepiej, niż wygląda na co dzień.

– Przyznam, że już sam ten zawód brzmi jak gotowy temat na płytę.
– Marzę jednak o czymś zupełnie innym. Chciałabym przede wszystkim tworzyć muzykę dla ludzi. Największą satysfakcję daje mi moment, kiedy patrzę na publiczność podczas koncertów i widzę uśmiechnięte twarze. To właśnie wtedy mam poczucie, że robię coś naprawdę ważnego.

– Wspomniałaś, że pracujesz jako etyczny haker. Muszę przyznać, że to jedno z najbardziej zaskakujących połączeń, z jakimi spotkałem się w muzyce. Z jednej strony analityczny świat technologii, z drugiej – niezwykle emocjonalna twórczość. Nie masz wrażenia, że funkcjonujesz w dwóch zupełnie różnych rzeczywistościach?
– Trochę tak jest. Zawsze miałam analityczny umysł. Dobrze odnajdywałam się w matematyce, skończyłam politechnikę i naturalnie trafiłam do branży IT. Jednocześnie od dziecka czułam, że w środku jestem przede wszystkim artystką. Muzyka zawsze była dla mnie czymś znacznie ważniejszym niż praca zawodowa.

– Czyli rozum mówi jedno, a serce drugie?
– Dokładnie. Praca daje mi stabilizację, ale nie daje mi poczucia spełnienia, jak muzyka. Tworząc piosenki, mogę przekazywać emocje i spotykać ludzi. To dla mnie najważniejsze.

– Mam wrażenie, że muzyka jest dla Ciebie formą odreagowania codzienności.
– Tak właśnie jest. Wszystkie emocje, których nie pokazuję w pracy, znajdują swoje miejsce w piosenkach. Dzięki temu czuję, że robię coś autentycznego.

– A Twoi współpracownicy wiedzą, że po godzinach jesteś artystką?
– Nie wszyscy. Świadomie nie mówię o tym każdemu.

– Dlaczego? Wydawałoby się, że dziś każdy chętnie opowiada o swoich projektach.
– Wolę oddzielać te dwa światy. Nie wiem, jak zostałoby to odebrane, więc nie czuję potrzeby, żeby wszystkim o tym opowiadać.

POPULARNOŚĆ NIE ZAWSZE IDZIE W PARZE Z WARTOŚCIĄ ARTYSTYCZNĄ.

– To ciekawe, bo odnoszę wrażenie, że jesteś przeciwieństwem współczesnego modelu artysty. Dzisiaj wielu twórców mówi przede wszystkim o sobie. Budują własną markę, pokazują każdy dzień, każdą chwilę. Ty sprawiasz wrażenie osoby bardzo skromnej.
– Nie wiem, czy to skromność. Taka po prostu jestem. Nigdy nie czułam potrzeby stawiania siebie w centrum uwagi.

– To jest bardzo charakterystyczne. Siedzisz spokojnie, mówisz cicho, nie próbujesz nikogo przekrzyczeć. Wręcz przeciwnie – sprawiasz wrażenie osoby trochę z innego świata.
– Czasami sama mam takie odczucie. Żyję trochę we własnej bańce. Mam swój świat i dobrze się w nim odnajduję.

– Twoją największą nagrodą nie są liczby w internecie ani statystyki?
– Zdecydowanie nie. Największą nagrodą są ludzie.

– Masz w ogóle momenty całkowitego luzu? Takie chwile, kiedy wyłączasz analizowanie wszystkiego?
– Chyba nie. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie.

– Czyli cały czas jesteś w pewnym napięciu?
– Tak. To chyba część mojego charakteru.

– Niedawno byłaś supportem Ani Dąbrowskiej. To chyba ważny moment w Twojej karierze?
– Zdecydowanie. Bardzo się cieszę, że mogłam zagrać przed jej publicznością.

– A teraz czas na kolejny krok, czyli płytę.
– Tak. Wszystko wskazuje na to, że ukaże się jeszcze w tym roku.

– Masz już tytuł?
– Waham się pomiędzy „Podwórkowymi snami" a „Podwórkowym sercem". Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

– Zastanawiam się nad tym tytułem. Z jednej strony tworzysz niezwykle refleksyjną muzykę, pracujesz w świecie nowych technologii, a z drugiej proponujesz nazwę kojarzącą się z dzieciństwem i zwyczajnością. To kolejne zaskakujące połączenie.
– Rozumiem, dlaczego tak to odbierasz. Dla mnie jednak podwórko nie oznacza blokowiska. Pochodzę z niewielkiej miejscowości w okolicach Cieszyna i właśnie tam rodzi się cały ten obraz.

– Czyli?

eprasa.pl be96d77ae9

– Marzy mi się spokojne życie. Mały dom, ogród, może jakiś staw niedaleko, kot, rower oparty o ścianę garażu. Bez pośpiechu, bez hałasu. Tak właśnie rozumiem podwórko.

– I oczywiście Fiat Punto.
– Oczywiście.

– Właśnie. Ten samochód stał się już niemal bohaterem Twojej twórczości.
– Trochę tak.

– Nadal nim jeździsz?
– Już właściwie kończy swoją historię. Na ostatnim przeglądzie usłyszałam, że następnego prawdopodobnie nie przejdzie.

WSZYSTKIE EMOCJE, KTÓRYCH NIE POKAZUJĘ W PRACY, ZNAJDUJĄ SWOJE MIEJSCE W PIOSENKACH. DZIĘKI TEMU CZUJĘ, ŻE ROBIĘ COŚ AUTENTYCZNEGO.

– Czyli zbliża się pożegnanie?
– Niestety tak.

– Powiem Ci coś półżartem, półserio. To świetny materiał promocyjny. Można byłoby podzielić Fiata na części i dołączać fragmenty karoserii do pierwszych egzemplarzy płyty.
– Obawiam się, że korozja zrobiła to już wcześniej. Niewiele zostałoby do rozdania.

– Który to rocznik?
– 2002.

– Samochód jest z Tobą od początku?
– Dostałam go od mamy. To ona jeździła nim przez wiele lat, a później przekazała go mnie.

– Czyli ma wartość sentymentalną.
– Zdecydowanie. Dlatego tak często pojawia się w moich tekstach.

– Wiem, że próbowałaś nawet zainteresować swoją historią producenta samochodu.
– Tak. Napisałam kiedyś z pytaniem o możliwość współpracy, ale nigdy nie dostałam odpowiedzi.

– Kto wie, może za rok lub dwa sami się odezwą. Zwłaszcza jeśli Twoja kariera będzie rozwijała się w takim tempie, jakiego Ci życzę.
– Byłoby miło.

– Mam wrażenie, że jesteś artystką, która świadomie nie chce budować swojej kariery wyłącznie w oparciu o media społecznościowe. Dzisiaj wielu wykonawców najpierw staje się influencerami, a dopiero później muzykami. Ty wydajesz się iść dokładnie odwrotną drogą.
– Bo muzyka zawsze była dla mnie najważniejsza. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że obecnie bez obecności w mediach społecznościowych trudno funkcjonować. Sama publikuję coraz więcej materiałów, nagrywam krótkie filmy i staram się być aktywna, ale traktuję to bardziej jako element pracy niż coś, co daje mi ogromną satysfakcję.

NAJWIĘKSZĄ NAGRODĄ SĄ LUDZIE.

– Czyli robisz to z poczucia obowiązku?
– Tak. Świat wygląda dziś inaczej niż jeszcze kilka lat temu. Jeśli chce się docierać do nowych słuchaczy, trzeba zaakceptować pewne zasady gry.

– Największym symbolem tych zmian jest chyba TikTok. Ty jednak nie ukrywasz, że nie jesteś jego wielką zwolenniczką.
– To prawda. Gdybym miała wybór, prawdopodobnie w ogóle nie korzystałabym z tej platformy.

– Aż tak?
– Tak. Mam wrażenie, że wszystko dzieje się tam bardzo szybko. Utwory są skracane, liczy się kilka sekund, natychmiastowa reakcja i kolejny materiał. Ja tworzę w zupełnie innym tempie.

– Z drugiej strony właśnie tam wiele piosenek zdobywa dziś drugie życie.
– Oczywiście. Nie da się temu zaprzeczyć. TikTok potrafi sprawić, że utwór sprzed kilku lat nagle ponownie trafia na listy przebojów.

– Tylko pojawia się pytanie: czy dzięki temu odkrywamy wartościową muzykę, czy jedynie tę, która dobrze działa w algorytmach?
– Właśnie. Sama często się nad tym zastanawiam. Popularność nie zawsze idzie w parze z wartością artystyczną.

– Gdybyś dostała propozycję bardzo dobrze płatnej współpracy jako influencerka, ale kosztem muzyki, zdecydowałabyś się?
– Nie sądzę. Oczywiście pieniądze są ważne, ale nie chciałabym zrezygnować z tego, co jest dla mnie najistotniejsze. Muzyka zawsze będzie na pierwszym miejscu.

– Czyli nawet jeśli media społecznościowe są konieczne, to pozostają jedynie narzędziem?
– Dokładnie. Nie chcę, żeby definiowały mnie bardziej niż moje piosenki. S

eprasa.pl be96d77ae9

Historie z podwórek

– Gdyby nie nauczyciele historii, którzy naprawdę interesują się PRL-em, zachęcają uczniów do udziału w konkursach i małych projektach, część historii, do których dotarliśmy, prawdopodobnie w ogóle by do nas nie trafiła. Bez takich ludzi pamięć o tych wydarzeniach ma małe szanse utrwalić się sama. Pięćdziesiąta rocznica Radomskiego Czerwca ’76 jest obchodzona bardzo uroczyście, to dobrze, ale prawdziwa próba przyjdzie w kolejnych latach – mówi **Michał Grosiak** w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.



Fot. arch. rozmówcy

– Jesteś realizatorem czterech filmów pod wspólnym tytułem „Historie z podwórek”. Z różnych perspektyw przypominają wydarzenia Radomskiego Czerwca 1976 roku. Mamy rok rocznicowy, więc nie będę pytał, skąd sam temat. Skąd natomiast wybór właśnie tych bohaterów i historii?

– Od początku projektu wiedzieliśmy, że jako Miejski Ośrodek Kultury „Amfiteatr” w Radomiu nie chcemy tworzyć kolejnej opowieści stricte historycznej. Chcieliśmy wejść w obyczajowość, codzienne życie ludzi i zobaczyć ten jeden dzień ich oczami. Punktem wyjścia było oczywiście 50-lecie Radomskiego Czerwca. Szukaliśmy zwykłych mieszkańców i ich osobistych historii. Uruchomiliśmy coś w rodzaju „konkursu bez konkursu”: rozesłaliśmy informacje do szkół i innych środowisk, umieściliśmy ideę projektu na stronie i czekaliśmy, co do nas przyjdzie. Materiały były bardzo różne. Część osób, choć przekazała ciekawe historie, nie chciała później wystąpić przed kamerą. Czasem uczniowie po prostu przynosili opowieści swoich dziadków jako pracę domową. Z tego, co do nas trafiło, wybrałem historie, które wydawały mi się najbardziej obiecujące. Idea „Historii z podwórek” nie od razu została zrozumiana tak, jak zakładaliśmy. Dostawaliśmy sporo prac, które po prostu streszczały wydarzenia z Czerwca 1976 roku, a nam chodziło o osobiste doświadczenie, o historię człowieka. Szczególnie utkwiła mi w pamięci praca uczennicy, która spotkała się z panią Mirosławą [Mirosława Hetman, uczestniczka wydarzeń

eprasa.pl be96d77ae9

i narratorka filmu o Dariuszu Tomaszewskim – przyp. K.K.] i przeprowadziła z nią wywiad. Większość materiału dotyczyła ogólnej historii PRL-u i wydarzeń czerwcowych, ale pod koniec pojawił się jeden krótki akapit o Dariuszu Tomaszewskim. To mnie poruszyło i dało punkt wyjścia do pogłębienia tematu i dalszej rozmowy z panią Mirosławą. Ta historia formalnie trochę różni się od pozostałych, bo nie mamy głównego bohatera, z którym możemy porozmawiać, mniej jest aspektu społeczno-obyczajowego. Ale znając historię Ryszarda Siwca, od razu pomyślałem, że to niezwykłe: Warszawa ma swojego bohatera tego typu i Radom również.

> ZNAJĄC HISTORIĘ RYSZARDA SIWCA, OD RAZU POMYŚLAŁEM, ŻE TO NIEZWYKŁE: WARSZAWA MA SWOJEGO BOHATERA TEGO TYPU I RADOM RÓWNIEŻ.

– Powiedzmy więcej o Tomaszewskim. Podejrzewam, że dla wielu Czytelników będzie postacią zupełnie nieznaną.

– Mimo że był Radomianinem, wiemy o nim niewiele. Dariusz Tomaszewski wychował się w centrum Radomia, w okolicach ulicy Żeromskiego, w świecie podwórek, które wtedy tętniły życiem. Pani Mirosława znała lepiej jego starszego brata, z którym chodziła do równoległej klasy; Dariusz był młodszy, spotykali się więc po prostu na podwórku. Jak mówi w filmie, był zwyczajnym, niewyróżniającym się chłopakiem. Najważniejsza część tej historii zaczyna się właściwie wraz z wydarzeniami Czerwca 1976 roku. Wiadomo, że Dariusz był pod Komitetem Wojewódzkim i że później zaangażował się w działalność antykomunistyczną. Pracował w drukarni, miał więc dostęp do zaplecza, które wykorzystywał do drukowania i kolportowania ulotek i plakatów. Musiał je ukrywać, był kontrolowany i nachodzony. Można sobie wyobrazić, pod jaką żył presją. Mam wrażenie, że był człowiekiem bardzo samotnym. Nie założył rodziny, nie miał więc też tego rodzaju oparcia, jakie daje wspólne przeżywanie strachu i napięcia. W 1984 roku, już po stanie wojennym, najwyraźniej nie wytrzymał. Wybrał jedno z najważniejszych i najbardziej ruchliwych skrzyżowań w Radomiu, ówczesnych ulic 1 Maja [dziś 25 Czerwca – przyp. K.K.] i Żeromskiego, i dokonał tam aktu samospalenia. Wcześniej spotkał go mąż pani Mirosławy. Dariusz niósł reklamówkę z brzęczącymi butelkami, więc można było pomyśleć, że jest w nich alkohol. Okazało się, że zawierały płyn łatwopalny. Po samospaleniu bardzo szybko zabrano go do szpitala. Z relacji pani Mirosławy wynika też, że władze bardzo pilnowały, aby sprawa nie przedostała się do opinii publicznej. I zrobiły to skutecznie, bo do dziś naprawdę niewielu Radomian wie, kim był Dariusz Tomaszewski.

> WŁADZE BARDZO PILNOWAŁY, ABY SPRAWA SAMOSPALENIA DARIUSZA TOMASZEWSKIEGO NIE PRZEDOSTAŁA SIĘ DO OPINII PUBLICZNEJ. I ZROBIŁY TO SKUTECZNIE.

– O historii Dariusza Tomaszewskiego powiedzieliśmy już sporo. O czym są pozostałe trzy filmy?

– Wszystkie pokazują jeden dzień i te same wydarzenia z perspektywy ludzi znajdujących się w zupełnie różnych sytuacjach życiowych. Pierwsza historia to perspektywa dziecka, które właśnie skończyło przedszkole. Jest 25 czerwca, właściwie pierwszy dzień wakacji. Chłopiec bawi się na placu zabaw i nagle okazuje się, że nie wraca do domu. Matka wychodzi go szukać, zabierając ze sobą córkę. Z dzisiejszej perspektywy może to dziwić, ale pojawia się przypuszczenie, że dziecko miało być dla niej swoistą ochroną – liczyła, że przy dziecku nikt jej nie zaatakuje. Drugi bohater jest świeżo po maturze. Razem z kolegami jedzie kąpać się pod Radom, a potem widzi, że główną trasą

eprasa.pl be96d77ae9

do miasta jedzie niezwykle dużo Nysek milicji. Wracają i trafiają w sam środek wydarzeń. Młodzieńcza ciekawość sprawia, że bohater zamiast zostać w domu, postanawia jeszcze odwiedzić dziewczynę. Kończy się to całonocnym ukrywaniem w mieszkaniu obcej rodziny, bo powrotu nie ma, a na ulicach działają oddziały ZOMO. Trzecia historia może początkowo wydawać się najbardziej kontrowersyjna, bo jej bohaterem jest żołnierz. Łatwo pomyśleć: wojsko w PRL-u, więc człowiek po tamtej stronie. Tymczasem był to ktoś, kto wcześniej służył w misjach międzynarodowych i dzięki temu zobaczył, jak bardzo rzeczywistość różni się od propagandy Ludowego Wojska Polskiego. Podczas wydarzeń radomskich przebywał u babci i żył w strachu, że przyjdą po niego i każą mu wystąpić przeciwko protestującym. Nie chciał stanąć przed wyborem, czy ma strzelać do ludzi w Radomiu lub innym mieście. Dodam, że nie chcemy, by „Historie z podwórek" były projektem zamkniętym. Okrągła rocznica Radomskiego Czerwca dała nam impuls, ale interesują nas również inne ważne chwile z życia miasta – wydarzenia, które zmieniały życie mieszkańców i pokazują, jak dawniej wyglądał Radom. Czerwiec 1976 roku jest po prostu wyjątkowo ciekawym punktem wyjścia i, mimo upływu pół wieku, wciąż pozostaje w wielu miejscach nieodkryty.

– Z kim robiłeś te filmy i jakie miałeś wsparcie instytucjonalne?

– Najważniejsze wsparcie polegało na tym, że mogłem realizować projekt w ramach swojej pracy. Oczywiście całość była szersza niż same filmy: powstała wystawa plenerowa, grafiki, teksty i strona internetowa, więc przy tych elementach pracowali również inni pracownicy instytucji. Natomiast koncepcję filmów, rozmowy, zdjęcia i montaż robiłem sam. Te filmy powstawały trochę jak dokument autorski: miałem określoną wizję i trudno byłoby znaleźć kogoś, kto przez cały czas mógłby pracować ze mną i wejść w nią dokładnie w ten sam sposób.

– Gdzie można znaleźć filmy i materiały związane z projektem?

– Na stronie historiezpodworek.pl. Same filmy są również na YouTubie, na profilu „Pracownia Nowych Mediów".

– Dużo pracujesz z młodzieżą, jesteś też dla wielu młodych ludzi w Radomiu przewodnikiem po filmie. Jak oceniasz ich świadomość wydarzeń z Czerwca 1976 roku? Czy to wciąż jest dla nich ważny temat?

– Użyłeś słowa „wciąż", a ono zakłada, że im bliżej tych wydarzeń, tym świadomość była większa, a potem stopniowo malała. Nie jestem pewien, czy tak było. Mam wrażenie, że przez wiele lat Czerwiec wcale nie był w życiu miasta szczególnie mocno obecny. Z czasów swej młodości nie pamiętam wielkich obchodów czy wydarzeń, które budowałyby wokół tej rocznicy powszechną świadomość. Zmieniało się to stopniowo, między innymi wraz z działalnością Stowarzyszenia Czerwiec '76 i wydarzeniami organizowanymi przy okazji Dni Radomia. Warto dodać, że o Czerwcu przypominają też kibice. Dzisiaj bardzo wiele zależy od konkretnych ludzi. Ja zajmuję się filmem, ale ogromną rolę odgrywają nauczyciele historii. Gdyby nie ci, którzy naprawdę interesują się PRL-em, zachęcają uczniów do udziału w konkursach i małych projektach, część historii, do których dotarliśmy, prawdopodobnie w ogóle by do nas nie trafiła. Bez takich ludzi pamięć o tych wydarzeniach ma małe szanse utrwalić się sama. Pięćdziesiąta rocznica jest obchodzona bardzo uroczyście, to dobrze, ale prawdziwa próba przyjdzie w kolejnych latach. Pięćdziesiąt lat to okrągła data. Zobaczymy, co wydarzy się przy 51., 52., 53. czy 54. rocznicy. Czy wrócimy do sytuacji sprzed kilkunastu lat, czy pozostanie trwały ślad wraz z grupą ludzi, która będzie o tę pamięć walczyć.

PRZEZ WIELE LAT CZERWIEC WCALE NIE BYŁ W ŻYCIU MIASTA SZCZEGÓLNIE MOCNO OBECNY.

Michał Grosiak – animator kultury filmowej. Organizator Festiwali filmowych, od 2008 r. współtwórca i koordynator festiwalu Międzynarodowe Spotkania Filmowe Kameralne Lato. Organizator produkcji i obsługi studenckich planów filmowych oraz zajęć w Warszawskiej Szkole Filmowej, wieloletni członek Stowarzyszenia FILMFORUM. Specjalista ds. edukacji medialnej w Pracowni Nowych Mediów. Koordynator wielu projektów filmowych realizowanych wspólnie z młodzieżą. Założyciel młodzieżowej Grupy Filmowej Radom Movie: Akcja!, wraz z którą realizuje filmy krótkometrażowe nagradzane na festiwalach filmowych. W 2024 roku uhonorowany nagrodą Mazowieckiego Instytutu Kultury „ALTERGRANT" oraz Nagrodą Specjalną im. Jana Machulskiego za działalność na rzecz edukacji kulturalnej. W 2025 roku laureat Nagrody Kulturalnej Radomia.

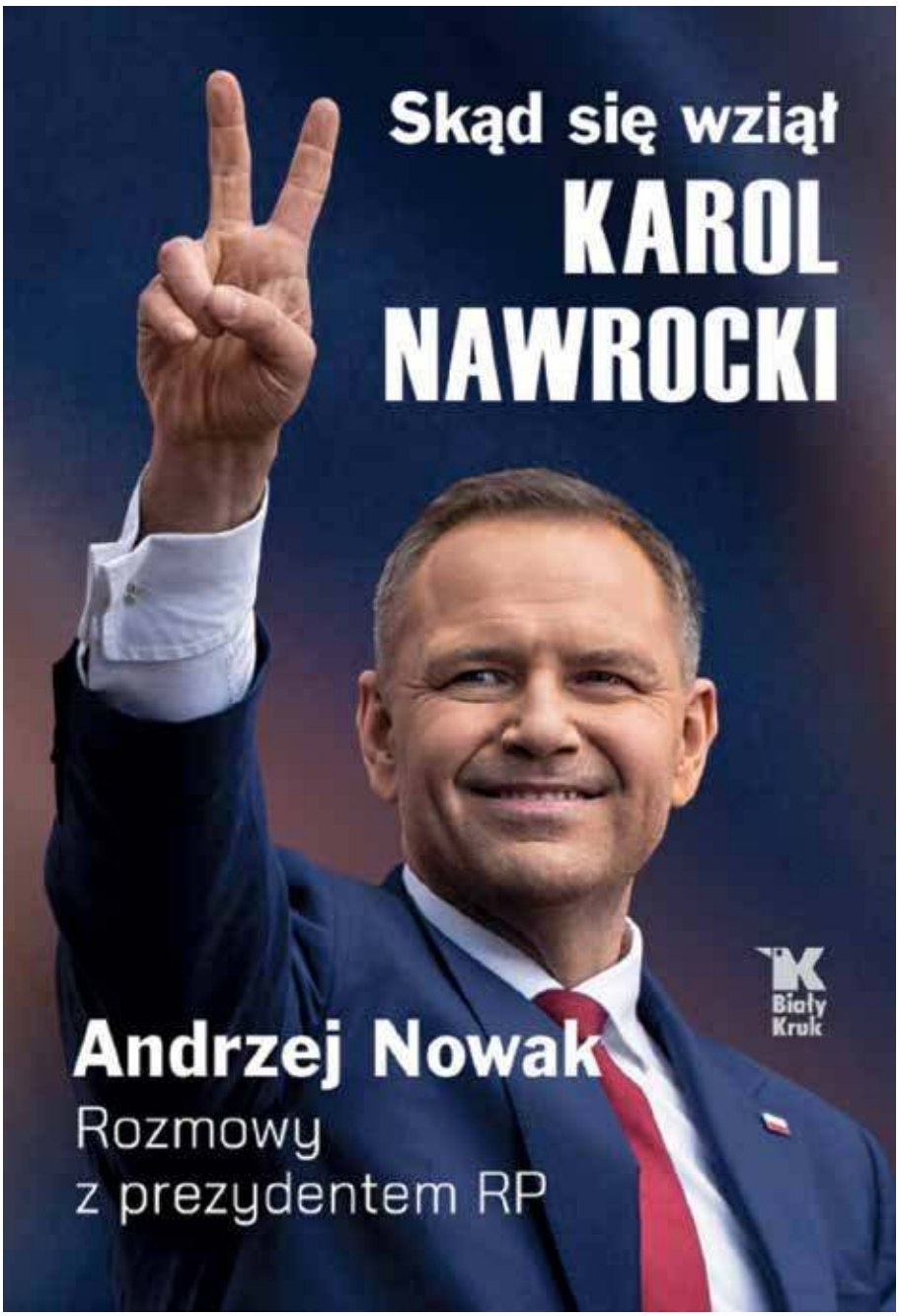
eprasa.pl be96d77ae9

KSIĄŻKA

Polski J.D. Vance

„Skąd się wziął Karol Nawrocki. Rozmowy z prezydentem RP” autorstwa Andrzeja Nowaka to wydany właśnie przez Białego Kruka wywiad rzeka z głową państwa.

Agnieszka Żurek



Książka, choć jest to zapis rozmowy, a nie pamiętnik, bardzo przypomina „Elegię dla bidoków” autorstwa amerykańskiego wiceprezydenta J.D. Vance’a.

„Z Gdańska i z ludu”

Opowiada o trudnej i pełnej przeciwności drodze z biedy na szczyt, o kształtowaniu się charakteru, uporze, walce i ciężkiej pracy. Czyta się tę książkę dobrze, z wieloma wątkami można się łatwo zidentyfikować, w obu przypadkach jednak trudno bezkrytycznie zaufać prezentowanej treści, jako że zarówno w przypadku Karola Nawrockiego, jak i J.D. Vance’a mamy do czynienia z czynnymi, wysoko postawionymi politykami. Nie sposób zatem czytać ich biografii w oderwaniu od bieżącego kontekstu piarowego.

„To wnikliwe studium kultury białych Amerykanów z klasy robotniczej. Książka ukazuje kryzys tożsamości, biedę, rozpad więzi rodzinnych, uzależnienia, a także utratę wiary w amerykański sen wśród mieszkańców amerykańskiej prowincji” – podano w materiałach promocyjnych „Elegii dla bidoków”. Jeśli zamienimy „Amerykanów” na „Polaków”, opis ten będzie pasował do książki prof. Nowaka i dr. Nawrockiego. Sam autor zresztą mówi o prezydencie: – Można powiedzieć, że w pewnym sensie ucieleśnia pan „amerykański sen” – drogę od bardzo zwyczajnych, często trudnych doświadczeń do pozycji publicznej o dużym znaczeniu, drogę na szczyt.

Karol Nawrocki opowiada prof. Nowakowi o swojej rodzinie, problemach finansowych, o trudnych relacjach między matką i ojcem, o radościach dzieciństwa spędzanego „na podwórku”, o blokowiskach lat 80. i 90., pasji sportowej, pracy ponad siły, pochłanianiu książek i zasypianiu na wykładach. Są to klimaty znane zapewne większości Polaków.

eprasa.pl be96d77ae9

„Skąd się wziął nowy prezydent? Z Gdańska i z «ludu» – czyli spoza samozwańczego salonu, który wciąż czuje się uprawniony rozdawać certyfikaty uprawnień do zajmowania miejsca w przestrzeni publicznej Polski. […] Zacznijmy od Gdańska. Tak, Karol Nawrocki urodził się w tym mieście. Spośród sześciu prezydentów, jakich miała dotąd III Rzeczpospolita, jest trzecim, którego związki z Gdańskiem mają zasadnicze znaczenie biograficzne. Pierwszy był Lech Wałęsa, drugi Lech Kaczyński – choć urodzony Warszawiak, to jednak przez najważniejsze dekady swej «przedprezydenckiej» biografii związany był pracą akademicką z Gdańskiem, mieszkaniem z Sopotem i przede wszystkim swą działalnością z pierwszymi Wolnymi Związkami Zawodowymi na Wybrzeżu, potem z Solidarnością. Obecny prezydent jest właśnie trzeci w tej gdańskiej linii. Myślę, że to bezcenne dla polskiej historii i dla wpisania w nią jeszcze mocniej, nieodwołalnie Gdańska (nie «wolnego miasta»/Freie Stadt Danzig, tylko polskiego, królewskiego miasta) – że aż połowa prezydentów wolnej Rzeczypospolitej po 1990 roku stąd właśnie przyszła do Warszawy. Kluczem do tej niezwykłej nadreprezentacji jest oczywiście dziejowe znaczenie protestu robotników Wybrzeża, Gdańska i Gdyni w szczególności w Grudniu 1970 roku, a potem narodzin Solidarności w tym właśnie miejscu i jej promieniowania stąd na cały kraj” – stwierdza we wstępie do książki prof. Nowak.

Karol Nawrocki mówi o specyfice Trójmiasta, o swoich naukowych zainteresowaniach, o studiach, nagrywaniu rozmów z bohaterami podziemia antykomunistycznego, o pracy w Instytucie Pamięci Narodowej, o zainteresowaniu tematem Żołnierzy Wyklętych, o organizowaniu uroczystego pogrzebu „Inki” i „Zagończyka”. Relacjonuje także trudy związane z działaniem na rzecz należytego upamiętnienia polskich bohaterów w Muzeum II Wojny Światowej, kiedy po objęciu stanowiska dyrektora tej placówki dowiedział się, że niczego w istniejącej ekspozycji nie można zmieniać.

„Nie wolno pokazać świętego ojca Maksymiliana Kolbego – postaci, o której pamięta się w Japonii, we Włoszech i na całym świecie – a na pięciu tysiącach metrów kwadratowych ekspozycji w polskim muzeum nie ma dla niego miejsca. Nie ma Ireny Sendlerowej – albo jest gdzieś schowana na marginesie. Rotmistrz Witold Pilecki sprowadzony do fotografii wielkości znaczka pocztowego. Zajmując się wcześniej odkrywaniem śladów pamięci o Polakach w Wolnym Mieście Gdańsku, w tym «laboratorium niemieckiego nazizmu», wyrastałem z bardzo lokalnej walki o to, żeby nie zapomnieć o swoich bohaterach. I nagle uświadomiłem sobie, że wchodzę w batalię o pamięć na zupełnie inną skalę. O wielką inwestycję, za którą wszyscy zapłaciliśmy z podatków – pół miliarda złotych, przypomnijmy: tyle kosztowało polskich obywateli zbudowanie tego muzeum. O pamięć bohaterów tak ważnych dla zasadniczej części narodu polskiego, którzy są ukrywani albo wręcz usuwani w imię jakiejś paneuropejskiej wrażliwości historycznej” – opowiada Nawrocki prof. Nowakowi.

„Nawrocki, zawróć – to droga donikąd”

Nieustępliwy charakter prezydenta i jego mentalność „fightera” obrazuje poniższy fragment rozmowy.

„Gdybym miał podsumować cały okres pracy w Muzeum II Wojny Światowej, to właściwie zamyka się on w haśle z baneru, który towarzyszy mi do dziś – wisi w pałacowej siłowni, w której trenuję, i jest czymś więcej niż tylko pamiątką – jest pewnym symbolem mojej drogi. Kiedy obejmowałem funkcję dyrektora muzeum, oprócz zniczy i manifestacji Komitetu Obrony Demokracji, witały mnie także różnego rodzaju banery i wyzwiska. Jeden z nich szczególnie zapadł mi w pamięć: «Nawrocki, zawróć – to droga donikąd»; to był rok 2017. Ten baner odtąd stale mi towarzyszy – wisiał najpierw w Muzeum II Wojny Światowej, potem w IPN-ie, a dziś jest ze mną w Pałacu Prezydenckim. Hasło na nim umieszczone oddaje w pewnym sensie najdobitniej cały ciężar tamtego doświadczenia – z jednej strony bardzo ostrej oceny, sprzeciwu i presji, a z drugiej – mego wewnętrznego przekonania, że idę drogą właściwą – bo na Westerplatte są żołnierze, których trzeba godnie pochować, bo Westerplatte powinno być polskie, bo postać św. ojca Maksymiliana Marii Kolbego powinna znaleźć swoje miejsce w opowieści muzeum. Mimo tych wszystkich złych ocen i ataków

KSIĄŻKA, CHOĆ JEST TO ZAPIS ROZMOWY, A NIE PAMIĘTNIK, BARDZO PRZYPOMINA „ELEGIĘ DLA BIDOKÓW” AUTORSTWA AMERYKAŃSKIEGO WICEPREZYDENTA J.D. VANCE’A.

eprasa.pl be96d77ae9

wyniosłem z Muzeum II Wojny Światowej bardzo mocne przekonanie, że droga, którą wtedy wybrałem i którą szedłem, była drogą słuszną" – stwierdza Nawrocki.

O swoim dzieciństwie, szkole, studiach i pierwszej pracy opowiada spokojnie, bez zadęcia, zwyczajnym językiem. Brzmi to ciekawie i wiarygodnie. Styl zmienia się z chwilą pojawienia się wątku startu w wyborach prezydenckich. Opowieść zaczyna wówczas nabierać cech eposu bohaterskiego. „Jego głównym celem jest przedstawienie przełomowych wydarzeń o znaczeniu narodowym lub wspólnotowym, w które zaangażowani są zarówno herosi, jak i bogowie. Bohaterowie eposu to postacie wybitne, półbogowie, królowie lub legendarni wojownicy, których czyny mają fundamentalne znaczenie dla całej zbiorowości" – czytamy w definicji tego gatunku literackiego.

Dawne bohatery

Zgadzam się z prof. Wojciechem Polakiem, że mit pełni ważną funkcję społeczną i jego dekonstrukcja nie zawsze jest potrzebna, a bywa wręcz szkodliwa. Nie bez kozery jednak protagoniści starożytnych epopei to „dawne bohatery", których życie już się zakończyło, przyniosło określone owoce, i których dokonania przetrwały próbę czasu. Nadanie cech eposu opowieści o aktualnie rządzącym polityku to ryzyko wpadnięcia w tony groteskowe.

„W Dzierżoniowie czekały na kandydata setki ludzi, mimo intensywnie padającego deszczu. Karol Nawrocki jednak nagle bardzo się tam rozchorował; prawdopodobnie dokonano próby jego otrucia. Na szczęście silny organizm szybko doszedł do siebie. «Wtedy się zawziąłem – wspomina Karol Nawrocki – i powiedziałem sobie, że trzeba kontynuować; to było kilka dni przed pierwszą turą. Wyszedłem i zrobiłem cały program. Normalnie, bez śladu tego, co wydarzyło się chwilę wcześniej»" – czytamy w książce prof. Nowaka. Nawrocki pytany o to, czy wobec utraty przytomności i konwulsji nie należało wezwać pomocy medycznej, odpowiada: „Gdzie tam lekarz, trzeba było podjąć męskie decyzje w kilka sekund. Szef ochrony od razu powiedział: jedziemy do szpitala. Sugerował, że zostałem otruty, że wydarzyło się coś bardzo poważnego. [...] Ja mówię: nie. Do Dzierżoniowa!". Prof. Nowak porównał tę sytuację do zamachu na prezydenta Donalda Trumpa, umieszczając zresztą w książce jego fotografię z tego wydarzenia z zaciśniętą pięścią na tle amerykańskiej flagi. Trump stwierdził wówczas, że „Bóg go ocalił, aby uczynił Amerykę znowu wielką". W książce prof. Nowaka nie pojawia się wprawdzie wątek ocalonego, ale zostaje zarysowana kolejna cecha charakterystyczna epopei, czyli przenikanie się świata boskiego i ludzkiego.

„Jeśli chodzi o całą kampanię i to, co dawało mi siłę, muszę powiedzieć o czymś jeszcze – o ogromnym szturmie modlitewnym, który odbywał się w Polsce i poza jej granicami. Nie myślę w takich momentach o słupkach poparcia ani o politycznej kalkulacji. Ale pamiętam moment, kiedy mój przyjaciel pokazał mi mapę miejsc, w których ludzie modlą się za to, żebym został prezydentem. Dosłownie wszystkie kontynenty. Niezliczone miejsca w całej Polsce i na świecie. Myślę, że była tam przynajmniej połowa krajów świata. [...] Ten szturm modlitewny i w ogóle bliskość Boga w czasie kampanii wyborczej były czymś absolutnie fundamentalnym. Sam modlę się codziennie, rozmawiam z Panem Bogiem, ale wtedy to miało zupełnie inny wymiar. Ja naprawdę czułem się prowadzony" – mówi Karol Nawrocki.

Nie chcę w żadnym wypadku wyśmiewać modlitwy i jak najbardziej wierzę, że przynosi ona dobre owoce,

CZYTA SIĘ TĘ KSIĄŻKĘ DOBRZE, Z WIELOMA WĄTKAMI MOŻNA SIĘ ŁATWO ZIDENTYFIKOWAĆ, TRUDNO JEDNAK BEZKRYTYCZNIE ZAUFAĆ JEJ TREŚCI, JAKO ŻE MAMY DO CZYNIENIA Z CZYNNYM, WYSOKO POSTAWIONYM POLITYKIEM.

warto jednak pamiętać, że każdy polityk – nawet najwyżej postawiony – jest tylko człowiekiem. Nie tylko „wodzem narodu", ale przede wszystkim urzędnikiem państwowym utrzymywanym z pieniędzy podatników i odpowiedzialnym za realizowanie interesu danego państwa. Jak najbardziej potrzebna jest do tego Boska pomoc, toteż nadal należy się o nią modlić. Jednak droga polityczna prezydenta Nawrockiego dopiero się rozpoczęła, także ocenić ją będzie można dopiero ex post. Życzę jemu – i Polsce – żeby faktycznie był to „epos bohaterski", bo to będzie oznaczało, że nasz kraj jest nareszcie mądrze i odpowiedzialnie zarządzany.

„Skąd się wziął Karol Nawrocki. Rozmowy z prezydentem RP", Andrzej Nowak, Biały Kruk, Kraków 2026.

eprasa.pl be96d77ae9

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Młodsi bracia

Polacy urodzeni w latach 30. dorastali jako dzieci w cieniu Szarych Szeregów, ale swój patriotyzm mieli możliwość zamanifestować dopiero po wojnie.

Nie znalazł się na kanonicznej liście „polskich miesięcy” – Grudnia, Sierpnia czy Czerwca. Niebezpodstawnie – mamy w końcu do czynienia z epizodem, który nie zmienił losów kraju (chociaż wpłynął na zaostrzenie kursu komunistycznych władz wobec odradzającego się ZHP). Nie doszło, wbrew pogłoskom, do przelewu krwi (choć nie można wykluczyć konfrontacji między harcerzami a członkami ZMW), nikogo nie spotkały brutalne represje (choć można mówić o zakończeniu kilku karier). Czym zatem był „szczeciński kwiecień”?

Wikipedyczną czy egzaminacyjną odpowiedź dałoby się pewnie zmieścić w czterech–pięciu zdaniach: wiosną 1946 r. władze zdecydowały o zorganizowaniu w rocznicę wyzwolenia Wybrzeża z rąk niemieckich dwóch upamiętniających to zlotów. W obchodach w Szczecinie wziął udział, obok prezydenta Bieruta i licznych komunistycznych oficjeli, również wicepremier Stanisław Mikołajczyk. Na obchody ściągnięto, obok aktywistów ZMW i innych organizacji fasadowych, również liczne drużyny harcerskie z całego kraju i „wiciowców” z PSL. W kulminacyjnym momencie obchodów, w obliczu afrontów zgotowanych Mikołajczykowi, młodzież zaczęła skandować na jego cześć. Bierut nie wytrzymał sytuacji psychicznie, opuścił trybunę. Następnego dnia niedopuszczeni do oficjalnej defilady harcerze – urządzili własną…

Znaczące? Oczywiście. Pomnikowe? Pewnie jednak nie. Można by o wydarzeniach kwietnia ’46 napisać poprawną monografię – albo uczynić je przedmiotem tak fascynującej opowieści, jak udało się to dwóm autorom. Czasem o takich książkach mówi się „perełka” – i chciałbym użyć tego słowa bez cienia lekceważenia. To wzór tego, jak można zbudować wielowarstwową, wciągającą opowieść, która tłumaczy znacznie więcej niż przebieg 48 godzin w Szczecinie. Ta niewielka rozmiarami publikacja dowodzi świetnego opanowania dziejów miasta przez szczecińskiego historyka Artura Kubaja – ale też wskazuje zagadnienia od wielu lat zgłębiane przez Piotra Semkę. Czytając ją, miałem przed oczami jego niedawną, zbyt skąpo recenzowaną pracę („Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1950”, VERLAG, Warszawa 2025), ale może bardziej jeszcze – trochę zapomnianą, a dla mnie chyba najistotniejszą w jego dorobku książkę: „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956” (Zysk i S-ka, Poznań 2015).

Blisko połowa książki ukazuje – w kolejnych przybliżeniach, zmieniających się tak precyzyjnie, jakby ktoś operował przysłoną w aparacie fotograficznym – konteksty polityczne, społeczne i „emocjonalne” właśnie Polski lat 1945–1946. Tłumaczy „kropelkową” rozbudowę systemu represji w Polsce lubelskiej; funkcjonowanie aparatu cenzury i propagandy; instrumentalne wykorzystywanie Kościoła; niepewny, wobec niewyjaśnionej przyszłości ziem niemieckich, status Szczecina i związaną z tym specyfikę miejscowej sytuacji politycznej; nadzieje wiązane z Mikołajczykiem. Przede wszystkim jednak – w znacznej mierze przeoczany dotąd przez historyków fenomen „młodszych braci”: roczników urodzonych w latach 30., które dorastały w cieniu szaroszeregowców, ale ich młodość przypadła na pierwsze lata powojenne. To oni „wygnali Bieruta z trybuny” i usiłowali wspierać PSL podczas sfałszowanych wyborów. To im odebrano harcerstwo. Znaleźli się wśród bohaterów powieści „Zgliszcza” Piotra Zaremby, oddała im głos Hanna Świda-Ziemba, gromadząc ich listy i pamiętniki w pracy „Urwany lot”. Teraz, dzięki szczodrze przytaczanym relacjom, możemy usłyszeć ich po raz kolejny. Możemy też – to kolejny atut tej książki – spojrzeć im w oczy. Dzięki temu, że „Wygnali Bieruta…” ukazało się niemal równocześnie z zorganizowaną w Szczecinie wystawą poświęconą wydarzeniom z kwietnia ’46, udało się zgromadzić wyjątkowo wiele historycznych zdjęć. Ostre, wyraźne, w dużym zbliżeniu – dają do myślenia, przywołują, na poziomie fizjonomii, powracającą co jakiś czas refleksję o „dwóch Polskach” zmagających się ze sobą od trzech pokoleń.

Artur Kubaj, Piotr Semka,
„Wygnali Bieruta z trybuny. Szczeciński kwiecień 1946”,
IPN, Szczecin 2026.

eprasa.pl be96d77ae9

Raj stwarzany parabolą



Fot. Ligier Piotr/Muzeum Narodowe w Warszawie

Antylopa gnu, Henryk Jędrasiak, 1958



Fot. Korta Michał/Muzeum Narodowe w Warszawie

Gil, Mieczysław Naruszewicz, 1959



Fot. Ligier Piotr/Muzeum Narodowe w Warszawie

Pingwiny, proj. Hanna Orthwein, 1958

„Wynaleźć długość, szerokość, wysokość,/ Dwa razy dwa i siłę ciążenia,/ To i tak dosyć, a tu jeszcze: majtki/ Z koronką, hipopotam, dziób tukana" – pisał Czesław Miłosz w wierszu „Stwarzanie świata", pisząc o przelewającym się przy tej okazji „oceanie musującej energii" i wybuchach śmiechu w Niebie. Wiem, że to lekko żartobliwa (choć bardzo mądra!) wizja, która nie oddaje pełnej prawdy o Stworzeniu. Wiem też – tym razem na pewno – że czworgu plastyków, absolwentów ASP związanych z Instytutem Wzornictwa Przemysłowego, nie zawsze mogło być do śmiechu: pracowali pod presją czasu, w dramatycznie zmieniających się okolicznościach politycznych – jak daleko sięgnie „odwilż"? – z niewystarczającym wyposażeniem technicznym (dopiero po kilku miesiącach skonstruowano piec osiągający temperaturę 1350 stopni) i z wyjątkowo kapryśnym materiałem, jakim jest porcelana, odkształcająca się i odbarwiająca podczas wypalania.

A jednak, kiedy patrzę na owoce ich pracy – jeże, bekasy, łabędzie, osiołki oraz, tak jest, hipopotamy i tukany – mam nieodparte wrażenie, że dokonywało się wówczas małe stwarzanie świata, że z musującej energii zrodziły się „istoty żywe różnego rodzaju: bydło, zwierzęta pełzające i dzikie zwierzęta według ich rodzajów" – jak mówi Księga Rodzaju.

Historycy sztuki mówią w przypadkach takich rzeźb o artystycznym przetworzeniu, o „redukcji detalu", o „uproszczonej, zwięzłej bryle", o oryginalnym rozwiązaniu kwestii podparcia. To wszystko prawda, ja jednak mam ochotę po raz kolejny przywołać Miłosza, który pisał o „sroczości" i „psistości". Pisał to, oczywiście, za świętym Tomaszem i Arystotelesem, przywołując przekonanie o istnieniu esencji, czyli istoty rzeczy – odrębnej od jednostkowego istnienia i od akcydensów, czyli cech i elementów przygodnych, mniej lub bardziej przemijających i przypadkowych. I to właśnie można zobaczyć w warszawskiej Królikarni: dziczość (potężne karczysko i ryj niczym pień). Pingwiniość (solidna podstawa i wyciągnięty ku górze dziób, czerń, biel i życie w parze). Mamuciość (potężna masa, sugestia futrzastości, trąba i kły). Ba, również bekasowość, marabuciość i antylopiość (gnu). A w dodatku te dziki, pingwiny i bekasy sporządzone zostały z porcelany! Owszem, wiemy, jak łatwo chrzęści ona pod butem tragarza lub gąsienicą czołgu – ale tu, lekka, lśniąca i szklista, wydaje się materią z innego świata, doskonałą do zapisu sedna.

Fenomen „figurek z Ćmielowa", określanych też (bodaj po raz pierwszy przez monografistkę tego fenomenu Barbarę Banaś) mianem „polskiego New Looku", jest oczywiście dobrze znany: prace projektowe rozpoczęto w roku 1955, w rok później pierwsze kameralne rzeźby ukazały się na wyposzczonym polskim rynku – i natychmiast odniosły kolosalny sukces artystyczny i (jeśli można tak powiedzieć w przypadku gospodarki realnego socjalizmu) komercyjny: prezentowano je w Nowym Jorku i w Moskwie, wychwalano w Paryżu i w Londynie. Znalazły się na setkach tysięcy polskich półek, i kto nie wyrzucił ich, porządkując mieszkanie po dziadkach, niech się cieszy: na aukcjach osiągają ceny tak wysokie, że kwitnie proceder wytwarzania ich podróbek.

Wszystko to wiadomo, równie ciekawe jest tło polityczne i ideowe ich powstania: połączyły się tu w osobliwy sposób tak mocna w Polsce lat 50. tęsknota za „zachodniością" i za najskromniejszymi choćby ozdobami małych mieszkań, oficjalna niechęć do „drobnomieszczańskiej estetyki", z jej monidłami i oleodrukami, oraz obecne wśród artystów od czasów Żeromskiego pragnienie wprowadzenia do polskich domów urody i prostoty. O tym wszystkim opowiada fantastyczna wystawa w Królikarni – ale nie trzeba tego wiedzieć, żeby zachwycić się gibbonem i jaskółką, i gilem.

„Rzeźba na meblościankę". Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni, 14 maja – 25 października 2026 r. Kuratorka: Kaja Muszyńska.

eprasa.pl be96d77ae9

„PODCAST BIZNESOWY”

Ekonomia opowiedziana przez PRAKTYKÓW



Fot. Adobe Stock

Telefon milczy najgłośniej po podpisaniu umowy. Do tego momentu wszystko jest jeszcze **obietnicą**. Negocjacje, maile, spotkania, poprawki w ofercie. Praca polega na ruchu. Potem przychodzi cisza i zaczyna się właściwa część przedsiębiorczości. Czekanie, czy druga strona zapłaci.

Piotr Biegasiewicz

W jednej z rozmów przedsiębiorca mówi o tej chwili bez dramatyzowania. Dokument podpisany, ludzie zatrudnieni, produkcja uruchomiona. Po drugiej stronie zapada milczenie. Nie konflikt, nie zerwanie, tylko brak odpowiedzi. Firma jeszcze istnieje, ale jej przyszłość przestaje istnieć jako pewność. Od tego momentu gospodarka przestaje być teorią, a staje się doświadczeniem fizycznym. Sen jest krótszy, kalendarz dłuższy, decyzje szybsze niż wiedza.

Tak zaczyna się większość historii w „Podcaście Biznesowym”. I już w tej pierwszej scenie widać coś ważniejszego niż los jednej firmy. Widać formę współczesnej pracy. Ktoś podejmuje decyzję, ktoś czeka na jej skutek, ale niepewność przechodzi przez wszystkich.

„Podcast Biznesowy” nie jest projektem medialnym tworzonym przez dziennikarzy ani ekonomistów komentujących wykresy. Prowadzą go przedsiębiorcy działający na rynku technologicznym i usługowym, Daniel Moczydłowski i Dawid Paczka. Ich rozmowy mają charakter zawodowy, a nie obserwacyjny. Interesuje ich sprzedaż, ryzyko, kontrakt, błędna decyzja, strata czasu. Nie pytają o poglądy na gospodarkę. Pytają o moment, w którym ktoś nie wiedział, co zrobić, i mimo to musiał zrobić coś natychmiast.

Dlatego te rozmowy brzmią inaczej niż wywiady. Nie prowadzą do wniosku, lecz do rozpoznania sytuacji. Słuchacz nie dowiaduje się, jak działa rynek. Dowiaduje się, jak

eprasa.pl be96d77ae9

wygląda chwila, w której rynek działa na człowieka.

I to jest ich znaczenie. W Polsce ekonomia przez trzy dekady była wiedzą objaśnianą przez ekspertów i przeżywaną prywatnie przez ludzi. Podcast odwraca tę relację. Oddaje język gospodarki tym, którzy faktycznie się nią zajmują, i przez to ujawnia, że doświadczenie rynku jest wspólne nawet wtedy, gdy role są różne.

Historie zamiast porad

Najciekawsze w tym podcaście nie są rady, a powtarzalny motyw pomyłki.

Jeden z gości opowiada o firmie, która rośnie szybciej, niż potrafi liczyć. Telefony się urywają, klienci zamawiają, zespół się powiększa. Właściciel pierwszy raz doświadcza czegoś, co z zewnątrz wygląda jak sukces. Po kilku miesiącach księgowość pokazuje wynik. Każde zlecenie generuje stratę. Cena została ustalona na podstawie intuicji, a nie kosztu czasu. Firma pracuje coraz więcej i zarabia coraz mniej. Nie ma momentu katastrofy. Jest powolne odkrywanie, że rozwój może być formą bankructwa.

Ta historia nie dotyczy tylko przedsiębiorcy. Dotyczy całego otoczenia pracy. Klienci otrzymują usługę, pracownicy wykonują zadania, rynek wygląda stabilnie. Dopiero po czasie okazuje się, że stabilność była pozorna. W tym sensie pomyłka jednego staje się rzeczywistością wielu.

W innym odcinku rozmowa dotyczy największego kontraktu w historii działalności. Negocjacje trwały miesiącami, podpisanie umowy przyniosło ulgę. Po kilku tygodniach klient zmienia strategię i projekt znika. Nie ma sporu, nie ma winy, jest zmiana decyzji po drugiej stronie. Firma musi przetrwać fakt, że plan przestał istnieć. To jedna z najczęściej powracających lekcji podcastu. Rynek nie musi być niesprawiedliwy, aby był bolesny. Wystarczy, że jest niezależny. A jego niezależność zawsze rozkłada się na więcej osób niż jedna.

Jeszcze gdzie indziej przedsiębiorca opowiada o pierwszym pracowniku. Do tego momentu błędy były prywatne. Od tej chwili stają się czyimś czynszem i czyjąś ratą. Właściciel przyznaje, że pierwszy raz poczuł strach nie o siebie, lecz o kogoś innego. W podręcznikach biznesu to etap rozwoju. W doświadczeniu to zmiana statusu moralnego. Przedsiębiorczość przestaje być wolnością, zaczyna być odpowiedzialnością, czyli uznaniem, że decyzja jednostki zawsze przekracza jednostkę.

Te historie działają, ponieważ nie są wyjątkowe. Powtarzają się w różnych branżach i skalach. Słuchacz zaczyna rozumieć, że gospodarka nie składa się z sukcesów, lecz z konsekwencji decyzji podjętych przy niepełnej wiedzy i ponoszonych zbiorowo.

Gospodarka jako psychologia

„Podcast Biznesowy" właściwie nie jest o pieniądzach. Pieniądze pojawiają się jako efekt. Tematem jest napięcie.

Właściciel firmy usługowej opowiada o pracowniku, który generował najwyższe przychody, a jednocześnie rozbijał zespół. Zwolnienie oznaczało spadek obrotu. Pozostawienie oznaczało rozpad organizacji. Decyzja została podjęta wbrew rachunkowi krótkoterminowemu. Firma przestała zarabiać tyle, co wcześniej, ale zaczęła działać stabilnie. Po latach właściciel mówi, że był to moment, w którym firma stała się wspólnotą pracy, a nie tylko źródłem dochodu.

W tych rozmowach powraca motyw bezsenności. Nie spektakularnych strat, lecz nieustannego przewidywania. Odpowiadania na maile szybciej niż potrzeba, podejmowania decyzji tylko po to, by przerwać napięcie oczekiwania. Kryzys zaczyna się w głowie, dopiero potem pojawia się w bilansie. A gdy pojawia się w bilansie, dotyczy już wszystkich.

Podcast pokazuje gospodarkę jako serię wyborów między krótkim a długim horyzontem. Nie ma tu języka maksymalizacji zysku. Jest język konsekwencji. Dlatego słucha się go jak rozmów o dorosłości, nie o biznesie.

W tym momencie zmienia się także rola słuchacza. Przestaje słuchać o cudzym biznesie, zaczyna słuchać o własnej pracy. Opóźniona decyzja kierownika, nagła zmiana planu, projekt kończący się bez wyjaśnienia przestają być przypadkiem. Okazują się częścią

PROWADZĄCY „PODCAST BIZNESOWY" NIE PYTAJĄ O POGLĄDY NA GOSPODARKĘ. PYTAJĄ O MOMENT, W KTÓRYM KTOŚ NIE WIEDZIAŁ, CO ZROBIĆ, I MIMO TO MUSIAŁ ZROBIĆ COŚ NATYCHMIAST.

eprasa.pl be96d77ae9

tej samej logiki odpowiedzialności przenoszonej w dół. Podcast ujawnia prostą rzecz, o której rzadko mówi się wprost. Niepewność nie jest dziś wyjątkiem przedsiębiorcy. Jest powszechnym warunkiem pracy. Jedni podejmują decyzję, inni ponoszą jej skutki, ale wszyscy pracują w tej samej rzeczywistości ryzyka.

Polska przedsiębiorczość bez legendy

W tych rozmowach znika stereotyp przedsiębiorcy jako wizjonera. Zostaje rzemieślnik decyzji. Ktoś, kto codziennie ocenia ryzyko bez pełnej informacji. Ktoś, kto działa mimo zmęczenia poznawczego.

Powraca jeden obraz. Firma nie upada nagle. Najpierw właściciel przestaje wierzyć w spokojny dzień. Potem zaczyna pracować w każdej wolnej chwili. Potem przestaje odróżniać pilne od ważnego. Dopiero na końcu pojawia się problem finansowy.

To odwraca klasyczne myślenie o gospodarce. Kryzys zaczyna się w doświadczeniu jednostki, a dopiero potem w statystyce, a gdy pojawia się w statystyce, oznacza już doświadczenie zbiorowe.

„Podcast Biznesowy" pokazuje kapitalizm średniej skali. Firmy kilku- lub kilkudziesięcioosobowe, które budują lokalny rynek pracy. Nie spektakularne wyceny, lecz powtarzalna praca. Sprzedać, dostarczyć, poprawić, spróbować ponownie.

Pęknięcie

Jednocześnie podcast ujawnia ograniczenie własnej perspektywy. Historie opowiadane są prawie zawsze z pozycji właściciela. Pracownik pojawia się jako koszt, nadzieja albo ryzyko. Rzadziej jako narrator rzeczywistości pracy.

To nie zarzut wobec autorów rozmów. To diagnoza rzeczywistości. Współczesna gospodarka jest sumą doświadczeń, które nie posiadają wspólnego języka. Pracownik zna stabilność jako niepewność. Właściciel zna niepewność jako stabilność. Obaj mówią o tym samym rynku, lecz opisują go innymi słowami. A jednak opisują to samo doświadczenie.

Podcast dokumentuje jedną z tych narracji z niezwykłą dokładnością i przez to ujawnia, że podział ról nie znosi wspólnoty losu.

Dlaczego ludzie tego słuchają?

Nie dlatego, że wszyscy chcą zakładać firmy. Słuchają, ponieważ próbują zrozumieć decyzje, które kształtują ich codzienność: Skąd biorą się opóźnienia? Dlaczego projekty nagle zmieniają kierunek? Dlaczego stabilność bywa krucha mimo wysiłku?

Podcast przejmuje funkcję dawnego doświadczenia pokoleniowego. Kiedyś wiedzę o pracy przekazywało środowisko. Dziś przekazuje ją rozmowa nagrana mikrofonem.

> W TYCH ROZMOWACH ZNIKA STEREOTYP PRZEDSIĘBIORCY JAKO WIZJONERA. ZOSTAJE RZEMIEŚLNIK DECYZJI. KTOŚ, KTO CODZIENNIE OCENIA RYZYKO BEZ PEŁNEJ INFORMACJI.

Zakończenie

Popularność tych rozmów jest faktem społecznym, nie medialnym. Polacy nie słuchają ich dlatego, że chcą prowadzić firmy. Słuchają, bo próbują zrozumieć warunki własnej pracy.

Szkoła uczyła zawodów, media komentowały wskaźniki, polityka obiecywała stabilność. Dopiero doświadczenie zaczęło być opowiadane wprost. Podcast stał się podręcznikiem gospodarki nie dlatego, że jest najlepszy, lecz dlatego, że pokazuje coś oczywistego dopiero po czasie.

> POLACY NIE SŁUCHAJĄ TYCH ROZMÓW DLATEGO, ŻE CHCĄ PROWADZIĆ FIRMY. SŁUCHAJĄ, BO PRÓBUJĄ ZROZUMIEĆ WARUNKI WŁASNEJ PRACY.

Po trzydziestu latach kapitalizmu odkrywamy, że rynek nie podzielił społeczeństwa na zwycięzców i przegranych. Podzielił role, ale pozostawił wspólne ryzyko. I właśnie to wspólne doświadczenie, wcześniej rozproszone i prywatne, zaczyna wreszcie mieć język.

eprasa.pl be96d77ae9

Mocy Wyznawców, WYBAW NAS

Tytułowe wezwanie z Litanii do Najdroższej Krwi Chrystusa kieruje uwagę na jeden z wielu przymiotów Krwi Pańskiej, której poświęcony jest lipiec. Ta duchowość potrafi przynosić ogromne **owoce i pomoc**.

Jakub Pacan



Fot. Adobe Stock

Czerwiec w Kościele katolickim jest miesiącem poświęconym Najświętszemu Sercu Jezusa. Nabożeństwa czerwcowe przyciągają wiernych nie mniej licznie niż te majowe. O wiele mniej znany jest fakt, że lipiec to miesiąc poświęcony Najdroższej Krwi Chrystusa. Duchowość

eprasa.pl be96d77ae9

Krwi Pańskiej jednak powoli znajduje sobie miejsce w świadomości katolików.

Aniołów przywołuje

I dobrze, ponieważ wielu świętych i mistyków na przestrzeni dziejów dawało poruszające świadectwa, jak wielką moc ochronną ma Krew Pańska dla tych, którzy stają się jej czcicielami. „Krew Jezusa, Syna Jego [Boga], oczyszcza nas z wszelkiego grzechu" – pisze św. Jan w swoim Pierwszym Liście. Święta siostra Faustyna w „Dzienniczku" w zachwycie odnotowuje: „O Jezu, kiedy rozważam tę wielką cenę Krwi Twojej, cieszę się z jej wielkości, bo jedna kropla wystarczyłaby za wszystkich grzeszników".

To uderzające: gdy szuka się śladów duchowości Krwi Chrystusa u wielkich świętych Kościoła, to trudno znaleźć kogoś, kto nie oddawałby się tej formie duchowości. Św. Tomasz z Akwinu podkreślał, że jedna kropla Krwi Chrystusa wystarczy, aby obmyć świat z wszelkich grzechów.

Św. Augustyn pisał: „To Krew, która godnie przyjęta, czarta odstrasza, aniołów do nas przywołuje, samego Pana aniołów sprowadza. Ta Krew przelana cały świat obmywa. To jest ta cena świata, to jest ta cena, za którą Chrystus Pan Kościół kupił. To Krew Chrystusa, która jest wyrazem miłości do ludzi".

W Księdze Apokalipsy św. Jan powie: „Godzien jesteś wziąć księgę i jej pieczęcie otworzyć, bo zostałeś zabity i nabyłeś Bogu krwią twoją [ludzi] z każdego pokolenia, języka, ludu i narodu". O wielkiej liczbie zbawionych natomiast: „Oni zwyciężyli dzięki Krwi Baranka" i „opłukali swe szaty i w Krwi Baranka je wybielili".

Krew to esencja życia. Jeden z najważniejszych płynów ustrojowych organizmu. Jako symbol życia w wielu kulturach praktykowano różne rytuały krwi, niestety, także te demoniczne, jak np. w Ameryce prekolumbijskiej. W Biblii od pierwszych ksiąg krew zajmuje jedno z centralnych miejsc w symbolice relacji Boga z ludźmi i budowania przymierza. W Księdze Rodzaju, gdy Kain zabił Abla, rzekł Bóg: „Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!".

Krew ocalenia

W Księdze Wyjścia krew baranka dosłownie ocala przed aniołem śmierci. „I wezmą krew baranka, i pokropią nią odrzwia i progi domu [...] Tej nocy przejdę przez Egipt, zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej, od człowieka aż po bydło, i odbędę sąd nad wszystkimi bogami Egiptu – Ja, Pan. Krew posłuży wam do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej, gdy będę karał ziemię egipską". Krew stała się też symbolem przymierza Jahwe z Izraelem. „Mojżesz wziął krew i pokropił nią lud, mówiąc: «Oto krew przymierza, które Pan zawarł z wami na podstawie wszystkich tych słów»".

Judaizm obfitował w cały system zakazów i nakazów religijnych obchodzenia się z krwią, włącznie z tym że nie można było jej spożywać, ponieważ jako synonim życia („Bo życie wszelkiego ciała jest we krwi jego" – Kpł 17,14) była zarezerwowana wyłącznie dla Boga. „Nie wolno wam tylko jeść mięsa z krwią życia" – czytamy w Księdze Rodzaju.

Przelana krew miała uzmysławiać osobie wierzącej cenę, jaką płaci się za grzech. Wylana krew zwierzęcia ofiarnego pokazywała nieodwracalność konsekwencji grzechu i koszt ofiary. Zabite zwierzę nie wracało do życia, było też spalane na ołtarzu. Składający je Izraelita nic z tego zwierzęcia nie miał, choć za jego zakup musiał sporo zapłacić. Krwią ofiar mazano rogi ołtarza w świątyni jerozolimskiej lub skrapiano nią przestrzeń. Był to namacalny dowód, że ofiara została spełniona do końca. Księga Kapłańska mówi wprost: „To krew dokonuje przebłagania za duszę".

Skoro w Starym Testamencie krew miała tak wysokie miejsce w dziedzinie kultu bożego, to w nowym przymierzu nie mogło być inaczej. Jezus nic tu nie zmienił. Św. Paweł wielokrotnie tłumaczył ofiarę Jezusa nowo nawróconym z judaizmu chrześcijanom, odwołując się właśnie do duchowości krwi ofiarniczej, tym razem samego Mesjasza.

> ŚW. TOMASZ Z AKWINU PODKREŚLAŁ, ŻE JEDNA KROPLA KRWI CHRYSTUSA WYSTARCZY, ABY OBMYĆ ŚWIAT Z WSZELKICH GRZECHÓW.

Krew Jezusa

W czasie Ostatniej Wieczerzy Jezus daje swoją Krew jako ofiarę prze-

eprasa.pl be96d77ae9

błagalną za grzechy świata. Znowu centralne miejsce w Eucharystii zajmuje krew. Skoro sam Jezus ustanowił własną Krew kluczowym znakiem swojej zbawczej misji, to Kościół na przestrzeni wieków pogłębiał tę duchowość, wierni szukali we Krwi Baranka obrony i uświęcenia, widząc w niej potężny środek zbawczy. Krew Jezusa jest ukoronowaniem wszystkich najważniejszych wydarzeń w historii zbawienia zapisanych w Starym Testamencie: jest Krwią ocalenia, Krwią przymierza, Krwią przebłagania i Krwią zbawienia.

W 1815 roku zostało nawet powołane nowe zgromadzenie zakonne Misjonarzy Krwi Chrystusa. Założyciel, św. Kasper del Bufalo, rzymski kapłan, dostrzegał potrzebę stworzenia wśród kapłanów życia wspólnotowego pozwalającego na pogłębienie życia duchowego i aktywniejsze działania misyjne zarówno we własnym kraju, jak i poza jego granicami. We Krwi Chrystusa widział ogromną moc zdolną wyprowadzać Kościół z trudnej sytuacji, w której się wówczas znajdował.

Papież Jan XXIII był nazywany największym apostołem Przenajdroższej Krwi Chrystusa. Napisał list apostolski „Inde a primis” w 1960 roku, w którym zachęcał wiernych do głębszego rozważania wartości i mocy Krwi Jezusa oraz oficjalnie zatwierdził ku jej czci Litanię.

Duchowość Krwi Chrystusa potrzebna jest szczególnie dzisiaj, gdy katolikom i Kościołowi przychodzi żyć w coraz trudniejszych czasach. Na początku lipca Kościół katolicki na Białorusi został poświęcony Najświętszej Krwi Chrystusa.

Posiew chrześcijan

„Krew męczenników jest posiewem chrześcijan” – pisał w Apologetyku około 197 roku Tertulian. I coś w tym jest, ponieważ w krajach, gdzie prześladowania są naprawdę duże, jest też najwięcej powołań kapłańskich i zakonnych. W takich krajach jak Burkina Faso czy Wietnam, w których prześladowania przybierają różne formy, od wykluczenia ze społeczności i pozbawienia środków do życia po śmierć męczeńską, jest bardzo wiele powołań. Seminaria pękają tam w szwach, nie ma wręcz miejsc dla nowych kandydatów do kapłaństwa. Na marginesie narzekające na brak chętnych nasze doskonale wyposażone seminaria, po których hula wiatr, mogłyby przyjmować w swoje progi kleryków z takich krajów.

Jeszcze jedno orędzie Boga zostało zainicjowane i poświęcone w święto Krwi Chrystusa 1 lipca. Otóż włoska zakonnica Eugenia Elisabetta Ravasio otrzymała podczas prywatnych objawień w 1932 roku przesłanie od samego Boga Ojca, w którym mówi On, że jest czułym, kochającym ojcem. „Wybrałem ten dzień na rozpoczęcie mojego dzieła wśród ludzi, bowiem jest to święto Przenajdroższej Krwi Mojego Syna Jezusa. Zamierzam zanurzyć w tej Krwi dzieło, które zaczynam, aby przyniosło wielkie owoce w całej ludzkości” – mówi Bóg siostrze Eugenii. Objawienie zostało uznane przez Kościół po 10 latach rygorystycznych analiz. Objawienia te zostały przetłumaczone m.in. na język polski i są w książeczce „Bóg Ojciec mówi do swoich dzieci”.

Lipiec jeszcze trwa, warto w tych dniach zwrócić się do Krwi Chrystusa, zanurzyć w niej swoje troski, problemy i lęki. Wielu chrześcijan przed nami przekonywało się o skuteczności tej modlitwy.

> KREW JEZUSA JEST UKORONOWANIEM WSZYSTKICH NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ W HISTORII ZBAWIENIA ZAPISANYCH W STARYM TESTAMENCIE: JEST KRWIĄ OCALENIA, KRWIĄ PRZYMIERZA, KRWIĄ PRZEBŁAGANIA I KRWIĄ ZBAWIENIA.

> KRWIĄ OFIAR MAZANO ROGI OŁTARZA W ŚWIĄTYNI JEROZOLIMSKIEJ LUB SKRAPIANO NIĄ PRZESTRZEŃ.

eprasa.pl be96d77ae9

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

JAKUB PACAN

Piotr Duda: Dość pustych obietnic w sprawie podwyżek dla budżetówki



Fot. M. Żegliński

– Żądamy wzrostu płac w państwowej sferze budżetowej na poziomie minimum 15 proc. i oczekujemy od pozostałych uczestników negocjacji jasnych deklaracji, a nie ogólników, które niczego nie rozstrzygają – mówił Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

Odniósł się w ten sposób do przyjętego 10 lipca stanowiska strony pracowników i strony pracodawców Zespołu Problemowego ds. budżetu, wynagrodzeń i spraw socjalnych Rady Dialogu Społecznego w sprawie wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej w 2027 r.

Dokument mówi o znaczeniu godnych wynagrodzeń dla jakości usług publicznych, stabilności kadr i sprawnego funkcjonowania państwa. Zawiera również krytykę rządowej propozycji podwyżek na poziomie 3 proc.

W stanowisku zabrakło odpowiedzi na najważniejsze pytanie: Jakiej wysokości podwyżek domagają się jego autorzy? Dokument nie podaje żadnego realnego wskaźnika wzrostu wynagrodzeń. Nie zawiera propozycji, która mogłaby być punktem odniesienia w negocjacjach. W praktyce jest więc stanowiskiem bez stanowiska.

– Nie akceptujemy sytuacji, w której strona pracodawców ani poszczególne organizacje pracodawców

eprasa.pl be96d77ae9


Fot. M. Żegliński

„*Żądamy wzrostu płac w państwowej sferze budżetowej na poziomie minimum 15 proc. i oczekujemy od pozostałych uczestników negocjacji jasnych deklaracji, a nie ogólników, które niczego nie rozstrzygają*”.

Piotr Duda, przewodniczący KK NSZZ „Solidarność”, Tysol.pl, 10 lipca br.

nie są w stanie wskazać własnej propozycji wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej. Trudno traktować taki dokument jako odpowiedzialne stanowisko. To jest zapis ogólnych haseł, a nie realna propozycja dla pracowników budżetówki – zaznaczył Piotr Duda.

POGOTOWIE STRAJKOWE SOLIDARNOŚCI W SPÓŁKACH GRUPY AZOTY

Związkowcy z Solidarności z Grupy Azoty ogłosili pogotowie strajkowe i przedstawili swoje żądania. „Pracodawcy otrzymali 7 dni na spełnienie zgłoszonych żądań. Brak porozumienia oznacza wejście w spór zbiorowy w spółkach Grupy Azoty oraz rozpoczęcie kolejnych działań przewidzianych prawem, łącznie z możliwością strajku” – zapowiedzieli.

Pod wspólnym stanowiskiem podpisali się działacze ze spółek Grupy Azoty w Kędzierzynie-Koźlu, Policach, Puławach, Siarkopolu i Tarnowie.

„Czas pustych deklaracji dobiegł końca. Nie zgadzamy się, aby związki zawodowe były jedynie tłem do zdjęć i komunikatów medialnych. Reprezentujemy ludzi, którzy każdego dnia swoją pracą utrzymują funkcjonowanie Grupy Azoty” – napisali we wspólnym stanowisku.

„Nie ma naszej zgody na dalsze przerzucanie kosztów złych decyzji zarządczych na pracowników. Załoga ma ponosić wyrzeczenia, gdy jednocześnie na zewnętrzne usługi doradcze i prawne wydawane są dziesiątki milionów złotych, zmieniającym się jak w kalejdoskopie zarządom wypłaca się sowite odprawy, a tworzenie nowych stanowisk kierowniczych przedstawia się jako sposób naprawy sytuacji” – dodali.

PRACOWNIK NIE POWINIEN DOPŁACAĆ DO OBOWIĄZKÓW SŁUŻBOWYCH

Związkowcy z pocztowej Solidarności apelują do zarządu Poczty Polskiej o zapewnienie pracownikom pełnej rekompensaty kosztów ponoszonych w związku z wykorzystywaniem prywatnych pojazdów do wykonywania obowiązków służbowych. „Pracownik nie powinien dopłacać do wykonywania obowiązków służbowych” – zaznaczają.

Związkowcy z pocztowej Solidarności apelują do zarządu Poczty Polskiej o zapewnienie pracownikom pełnej rekompensaty kosztów ponoszonych w związku z wykorzystywaniem prywatnych pojazdów do wykonywania obowiązków służbowych.

Obecnie obowiązujące maksymalne stawki za jeden kilometr przebiegu pojazdu wynoszą 0,89 zł dla samochodu osobowego o pojemności silnika do 900 cm³, a powyżej 900 cm³ 1,15 zł. W przypadku motocyklu to 0,69 zł, a motoroweru 0,42 zł. Stawki te wprowadzono w styczniu 2023 roku i od tego czasu nie były aktualizowane.

„W ocenie Prezydium Organizacji Międzyzakładowej NSZZ «Solidarność» Pracowników Poczty Polskiej obowiązujące stawki nie odpowiadają rzeczywistym kosztom eksploatacji pojazdów. Koszt używania prywatnego pojazdu do celów służbowych nie obejmuje wyłącznie ceny paliwa. Składają się na niego również koszty napraw i przeglądów, części zamiennych, ogumienia, ubezpieczenia, badań technicznych oraz utrata wartości pojazdu wynikająca ze zwiększonego przebiegu i intensywności eksploatacji” – czytamy w stanowisku pocztowej Solidarności adresowanym do zarządu spółki.

J.P.

Kalendarium Solidarności

30.07.1975 – w Stoczni Gdańskiej 33 spawaczy przerywa pracę w proteście przeciwko zaniżanym zarobkom;

24.07.1985 – Sejm PRL nowelizuje ustawę o związkach zawodowych, odtąd w jednym zakładzie pracy mogła funkcjonować tylko jedna organizacja związkowa;

27.07.2005 – 31 sierpnia zostaje ustanowiony przez Sejm „Dniem Solidarności i Wolności”, upamiętnia on 25. rocznicę porozumień sierpniowych.

eprasa.pl be96d77ae9

Damian Mikos – hutnik, związkowiec, ultramaratończyk: Największe cele są jeszcze przede mną

Jeszcze trzy lata temu trudno było przypuszczać, że Damian Mikos będzie należał do czołówki polskich biegaczy górskich na dystansach ultra. Dziś pracownik Huty Katowice, członek NSZZ „Solidarność”, regularnie staje na podium zawodów, a jego największym celem jest start w jednym z najtrudniejszych ultramaratonów świata.

Barbara Michałowska



Fot. arch. D. Mikos (2)

– CAŁA HISTORIA Z BIEGANIEM ZACZĘŁA SIĘ TROCHĘ PRZYPADKIEM – OPOWIADA. Początkowo przygotowywał się do udziału w programie „Ninja Warrior”. Treningi obejmowały pokonywanie przeszkód, ale także bieganie. Plany pokrzyżowała jednak borelioza.

Choroba na wiele miesięcy wyłączyła go z aktywności. Leczenie trwało ponad dziewięć miesięcy, później nastąpił nawrót. To był trudny okres, który zmusił go do zatrzymania się i przewartościowania planów. Właśnie wtedy postanowił, że po powrocie do zdrowia skupi się na indywidualnym bieganiu.

– Lepiej czułem się, trenując sam niż w grupie – mówi.

„Ten bieg dedykuję dzieciom z Fundacji Nasze Dzieci”

Pierwszy start w zawodach zaliczył w styczniu 2023 roku podczas biegu górskiego na dystansie 27 kilometrów. Niedługo później choroba ponownie dała o sobie znać, ale od

eprasa.pl be96d77ae9



maja 2023 roku trenuje już nieprzerwanie. Każdy kolejny sezon oznacza coraz ambitniejsze cele.

Obecny rok jest dla niego wyjątkowo intensywny. Ma za sobą już siedem startów, a najważniejsze wyzwanie dopiero przed nim. We wrześniu wystartuje w Bieszczadach w ultramaratonie liczącym około 270 kilometrów i blisko 10 tysięcy metrów przewyższeń. Co ważne, pobiegnie nie tylko dla sportowego wyniku.

– Od początku wiedziałem, że kiedy osiągnę odpowiedni poziom, chciałbym pobiec charytatywnie. Ten bieg dedykuję dzieciom z Fundacji Nasze Dzieci – podkreśla.

Lista sukcesów Damiana Mikosa stale się wydłuża. Niemal z każdych zawodów wraca z pucharem. Niedawno zajął ósme miejsce w biegu „Krynicka Setka" na 100 kilometrów, jednocześnie wygrywając swoją kategorię wiekową. W poprzednim sezonie również odnosił zwycięstwa, a w tym roku wielokrotnie stawał na najwyższym stopniu podium.

Trenuje w każdej wolnej chwili

Na co dzień pracuje jako operator urządzeń w Hucie Katowice. Sport musi godzić z pracą w systemie czterobrygadowym, co wymaga doskonałej organizacji czasu i ogromnej dyscypliny.

Trenuje od poniedziałku do piątku. Gdy ma dzień wolny od pracy, wykonuje nawet dwa treningi dziennie – rano i wieczorem. Miesięcznie pokonuje około 670 kilometrów i zdobywa blisko 20 tysięcy metrów przewyższeń. To średnio około 20 kilometrów każdego dnia.

Mimo coraz lepszych wyników bieganie wciąż pozostaje kosztowną pasją. Nagrody finansowe na krajowych zawodach są symboliczne, a większość wydatków – od wpisowego po wyjazdy i sprzęt – pokrywa z własnych środków.

Solidarność pomaga

W realizacji sportowych planów pomaga mu zakładowa Solidarność. Związek wsparł go, między innymi dofinansowując zagraniczne wyjazdy na zawody.

– Każde wsparcie ma znaczenie. Mogę liczyć na pomoc Związku i bardzo to doceniam – mówi. Od jakiegoś czasu biega w koszulce z logo Solidarności.

Jak mówi, marzeń sportowych ma bardzo wiele. Chciałby wystartować we włoskim Tor des Géants – legendarnym ultramaratonie liczącym blisko 400 kilometrów. W dalszych planach znajdują się także samotne pokonanie Głównego Szlaku Beskidzkiego i kolejne wielodniowe biegi górskie.

– Robię wszystko, żeby rozwijać się i iść coraz wyżej. Największe cele są jeszcze przede mną – podsumowuje Damian Mikos.

eprasa.pl be96d77ae9



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje: Zapisywać się czy nie? Anatomia zakładowego dylematu

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

TO JEDNO Z NAJCZĘSTSZYCH PYTAŃ, KTÓRE KRĄŻĄ po korytarzach naszych firm, urzędów i szkół. Czasem zadawane jest wprost, częściej jednak tli się w ludzkich głowach jako cichy, wewnętrzny monolog: „Zapisywać się do tej Solidarności czy dać sobie spokój?”. Aby zrozumieć, dlaczego decyzja o złożeniu deklaracji członkowskiej bywa dziś tak trudna, trzeba wejść głębiej w psychikę współczesnego człowieka pracy. Każde pokolenie niesie ze sobą zupełnie inne obawy i doświadczenia.

Zacznijmy od najstarszych pracowników pamiętających jeszcze czasy, gdy przynależność związkowa była czymś naturalnym. W ich psychice dominuje dziś zmęczenie. Często myślą: „Tyle lat pracuję, po co mam się wychylać na finiszu?”. Boją się, że zaangażowanie na kilka lat przed emeryturą przyniesie im tylko niepotrzebny stres w relacjach z przełożonymi. Wolą przeczekać i nie ryzykować wypracowanego spokoju.

Środkowe pokolenie – ludzie w wieku trzydziestu i czterdziestu kilku lat – to grupa najbardziej dociążona życiowo. Mają kredyty, dzieci na utrzymaniu i permanentny lęk przed utratą stabilizacji. Ich psychika działa w trybie chłodnej kalkulacji ryzyka. Myślą: „Zapiszę się, dyrektor krzywo spojrzy, pominie mnie przy awansie albo nie dostanę premii”. Strach przed utratą przychylności szefa paraliżuje ich bardziej niż realne łamanie ich praw.

Na końcu mamy najmłodszych, dwudziestolatków, którzy wchodzą na rynek pracy z zupełnie inną mentalnością. Oni nie czują strachu – oni czują totalną obojętność. Wychowani w kulcie indywidualnego sukcesu, wierzą, że ze wszystkim poradzą sobie sami, a związek to pojęcie z podręcznika do historii. Dopiero gdy zderzają się z pierwszą ścianą, gdy pracodawca nie wypłaca nadgodzin albo stosuje presję psychiczną, ich idealistyczny świat pęka. Wtedy pojawia się bezsilność.

Wszystkie te postawy mają jeden wspólny mianownik: głębokie poczucie, że człowiek jest w pracy zdany wyłącznie na siebie. System celowo nas izoluje, wmawiając nam, że każdy walczy o swój własny interes. To potężna pułapka. Dopóki myślimy w ten sposób, pracodawca zawsze będzie miał przewagę, dyktując warunki i przesuwając granice naszej wytrzymałości.

Zapisanie się do NSZZ „Solidarność” to coś znacznie więcej niż formalność. To przede wszystkim podjęcie świadomej decyzji o wyjściu z tej narzuconej samotności. To moment, w którym przestajesz być petentem, a stajesz się równorzędnym partnerem. Legitymacja związkowa w kieszeni to wyraźny sygnał wysłany samemu sobie oraz otoczeniu: „Znam swoją wartość i od dzisiaj nie stoję tu sam”.

Czas przestać karmić swoje wewnętrzne demony i wiecznie czekać na to, co przyniesie los. Strach przed krzywym spojrzeniem, niepewność czy młodzieńcza iluzja niezależności znikają w ułamku sekundy, gdy obok Ciebie staje grupa ludzi myślących dokładnie tak samo. Związek zawodowy to żywa tarcza tworzona przez nas wszystkich.

Nie pytaj więc dłużej, czy warto. Rozejrzyj się wokół siebie, wyprostuj plecy i zrób ten jeden odważny krok. Wejdź do biura komisji zakładowej, weź deklarację i dopisz swoją historię do naszej wspólnej siły. Zapisywać się? Tak, bo tylko razem, ramię w ramię, jesteśmy w stanie wywalczyć szacunek, stabilność i bezpieczną przyszłość, na którą każdego dnia ciężko pracujesz. Czekamy na Ciebie. S

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl be96d77ae9

PRAWO

CZY MOGĘ ZATRZYMAĆ znaleziony telefon?

Podczas spaceru znalazłem na ławce telefon komórkowy. Nie widziałem nikogo w pobliżu, a urządzenie było zablokowane. Znajomi żartowali, że skoro właściciel go zgubił, to **mam szczęście**. Czy rzeczywiście mogę zatrzymać znalezioną rzecz, jeżeli nie wiem, do kogo należy?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Wiele osób wychodzi z założenia, że znaleziony przedmiot można potraktować jak „prezent od losu". W praktyce jednak znalezienie cudzej rzeczy wiąże się z określonymi obowiązkami wynikającymi z przepisów prawa. Dotyczy to zarówno portfela, telefonu, biżuterii, jak i innych przedmiotów przedstawiających wartość majątkową. Punktem wyjścia jest zasada, że znalezienie rzeczy nie powoduje automatycznego przejścia własności na znalazcę. Sam fakt, że właściciel zgubił przedmiot, nie oznacza bowiem, że zrezygnował z prawa własności. W dalszym ciągu pozostaje on właścicielem rzeczy i może domagać się jej zwrotu. Jeżeli znalazca zna właściciela albo może go łatwo ustalić, powinien niezwłocznie poinformować go o znalezieniu przedmiotu i umożliwić jego odbiór. Dobrym przykładem jest portfel zawierający dokumenty tożsamości lub telefon, w którym można odczytać dane właściciela. W takich sytuacjach obowiązek zwrotu jest stosunkowo oczywisty. Więcej problemów pojawia się wtedy, gdy ustalenie właściciela nie jest możliwe. Wówczas znalezioną rzecz należy co do zasady przekazać właściwemu staroście lub do biura rzeczy znalezionych. Dotyczy to szczególnie przedmiotów przedstawiających większą wartość albo takich, których właściciela nie można ustalić pomimo podjęcia rozsądnych działań. W praktyce wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że przywłaszczenie znalezionej rzeczy może prowadzić do odpowiedzialności prawnej. Jeżeli znalazca zatrzymuje przedmiot dla siebie mimo świadomości, że należy on do innej osoby, może narazić się nie tylko na roszczenia właściciela, ale również na odpowiedzialność przewidzianą w przepisach prawa karnego. Warto również pamiętać, że przepisy przewidują możliwość nabycia własności rzeczy przez znalazcę, ale nie następuje to automatycznie w chwili znalezienia. Konieczne jest spełnienie określonych warunków oraz upływ przewidzianych przez ustawę terminów. Dopiero wtedy, gdy właściciel nie zgłosi się po odbiór rzeczy, a wszystkie formalności zostaną dochowane, znalazca może uzyskać do niej prawa. Przepisy dotyczące rzeczy znalezionych, obowiązujące od 19 maja 2026 r., zostały doprecyzowane w zakresie procedur oraz dostosowane do współczesnych realiów obrotu. W praktyce zmodyfikowano przede wszystkim zasady i terminy związane z przechowywaniem oraz zwrotem rzeczy. Nie zmieniają się jednak podstawowej zasady – samo znalezienie cudzej rzeczy nie daje prawa do jej zatrzymania.

Podsumowując, znalezione telefon, portfel czy biżuteria nie stają się własnością znalazcy tylko dlatego, że ktoś je zgubił. W wielu przypadkach przepisy nakładają obowiązek podjęcia działań zmierzających do odnalezienia właściciela lub przekazania rzeczy właściwym organom. Zignorowanie tych obowiązków może prowadzić do konsekwencji znacznie poważniejszych niż utrata przypadkowego „znaleziska". S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl be96d77ae9

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Piotr Biegasiewicz (Podcast..., s. 62),
autor tekstów eseistycznych i literackich z pogranicza filozofii, prawa i ekonomii. Laureat wielu konkursów literackich.

Krzysztof Karnkowski (Kolorowe..., s. 14),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Monika Małkowska (Ślady..., s. 6),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Jakub Pacan (PiS..., s. 26),
dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Szczepan Ruman (Kontrakty..., s. 42),
jest przewodniczącym zespołu ekspertów ds. energetyki i bezpieczeństwa Polskiego Towarzystwa Gospodarczego. Ukończył studia menedżerskie w szkołach biznesu w Barcelonie (IESE) i na Uniwersytecie Pensylwanii. Był prezesem Świętokrzyskiej Grupy Przemysłowej Industria. Współautor audycji „Klub Przyjaciół Metali Ziem Rzadkich" w Radiu Wnet.

Wojciech Stanisławski (Czytam, chadzam..., s. 60),
historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl be96d77ae9

#MuremZaPolskim Mundurem



Koszulki

już do kupienia na

www.solidarnosc.sklep.pl

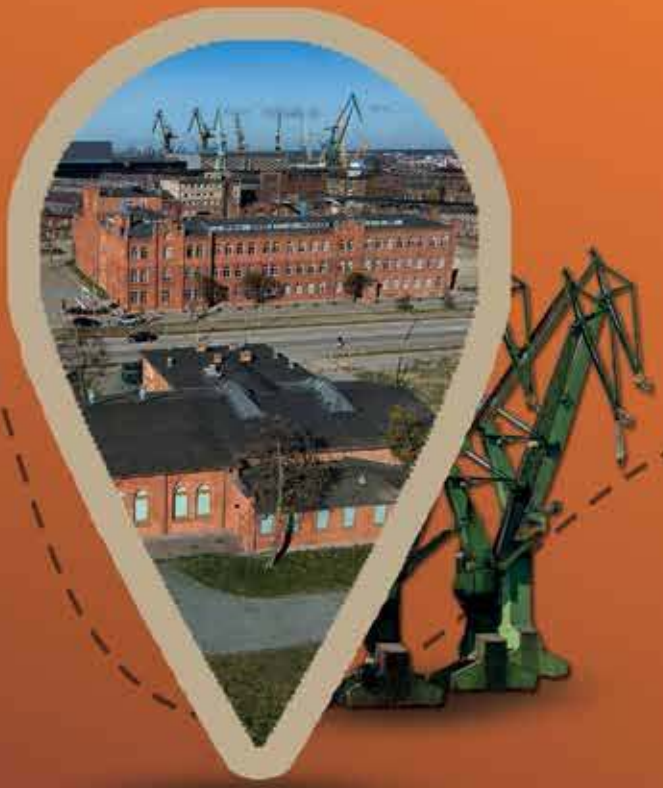
eprasa.pl be96d77ae9

KLIMATY STOCZNIOWE

HISTORYCZNA

SALA BHP

I STOCZNIA GDAŃSKA



Fundacja Promocji Solidarności

NSZZ Solidarność

WYCIECZKI

Z PRZEWODNIKIEM

WWW.SALABHP.PL/REZERWACJE

eprasa.pl be96d77ae9